EPOKA

ROK V. Warszawa, 25 maja 1938 r. Rok V Nr 15 (118)

Treść numeru:

Złota międzynarodówka

Byliśmy w ostatnich miesiącach świadkami dziwnego, osłupiającego na pozór zjawiska. W całej niemal nie-totalistycznej Europie, przede wszystkim w przodujących krajach demokratycznych, nacjonalistyczna prawica, ci patentowani patrioci, „narodowcy", imperialiści nagle ogłuchli na wołania własnych ojczyzn, własnych imperiów, własnych narodów. W jakimś dziwnym samobójczym oszołomieniu witali radośnie wypadki, które jeszcze parę lat temu przyjmowaliby krzykami oburzenia i zgrozy.

Oto — na „Czarnym Lądzie" pojawiła się nowa, żarłoczna i chciwa potęga kolonialna. Afryka Włoska chwyciła w żelazne kleszcze skarb Imperium: Egipt i kanał Suezki. Nad jeziorem Tana, świętym jeziorem angielskich plantatorów bawełny w Sudanie stoją straże włoskich askari. Jeśli zechcą — zamkną śluzy, a za sześć miesięcy Lancashire stanie z braku bawełny, nie mówiąc już o milionach i dziesiątkach milionów funtów strat w samym Sudanie. A Anglia? Rząd Neville Chamberlaina, z dynastii „Wielkiego Joe", twórcy Imperium, podaje dłoń włoskim parweniuszom, ratując ich w trudnej sytuacji, wprowadza ich pod ramię do władz kanału Suezkiego. A konserwatywni „die-hardowie", co każde swe wystąpienie zaczynają od słowa „Imperium", klaszczą mu radośnie: „Brawo Chamberlain".

Oto — we Francuskiej Afryce Północnej idzie szeroka, hojnie opłacana z Berlina i Rzymu, propaganda antyfrancuska. Nie ma obelgi, którąby nie padała pod adresem demokratycznego rządu Francji. Rozsiane po całym kraju kolonie osadników włoskich organizują najemne bandy tubylcze, głoszą jawnie hasło „Chcemy należeć do Włoch". Mussolini w Libii przyjmuje uroczyście miecz „Obrońcy Islamu". Obrońcy — przeciw Francji oczywiście! A kto popiera, kto w części przynajmniej finansuje tę antyfrancuską robotę? Prawica francuska, utrzymująca swe jaczejki wśród bogatych kolonistów na tych terenach! Kto woła o ułatwienie sytuacji Mussoliniego, zagrażającego Imperium kolonialnemu Francji? Któż inny jak nie prawica francuska, „nacjonaliści" i „patrioci" francuscy!

Oto regularne wojska niemieckie i włoskie osiadają na granicy pirenejskiej Francji. Nie przeciw „bolszewizmowi" demokratycznego, socjalistyczno-republikańskiego rządu barcelońskiego zwrócone są wyloty pozycji, budowanych w gorączkowym tempie przez niemieckich inżynierów na szczytach Pirenejów. Armaty, które tam kiedyś staną będą bombardowały południe Francji, samoloty, które stamtąd wylecą, siać będą śmierć i zniszczenie w osadach i miastach francuskich. Nie przeciw anarchistom buduje się pozycje dla ciężkiej artylerii wokół Gibraltaru, angielskiego klucza do Morza Śródziemnego. Ilu francuskich poilus i angielskich tommies położy swe młode głowy na tych pozycjach, które dziś rozbudowują włosko-niemieccy technicy i saperzy? A przecież — to francuscy prawicowcy, „nacjonaliści", „patrioci" posyłają szpady złote hiszpańskim niby-wodzom włosko-niemickich kolumn ekspedycyjnych. To oni — patentowani patrioci udaremniają każdą próbę zabezpieczenia południowej granicy Francji. To angielski konserwatywny, narodowy, nacjonalistyczny rząd Chamberlaina narzuca Anglii i Francji politykę, która Morze Śródziemne oddaje we władanie włosko-niemieckiego bloku, politykę, która zagraża angielskim szlakom do Indii i francuskim do Afryki.

Strach przed wiosną ludów. Jak wytłumaczyć to, napozór niezrozumiałe, zadziwiające zjawisko? Obłęd? Sympatie ideologiczne? Pieniądze? Panowie, o których chodzi, dowiedli wielokrotnie, że są zupełnie zdrowi na umyśle, że rozważania ideologiczne pozostawiają w tym celu czeredzie redaktorów i profesorów. A pieniądze? Choć dalece uzależnieni są finan-

sowo od Berlina tacy różni panowie jak Degrelle i Doriot, Codreanu i Szalassy, to jednak nie oni, stypendyści Ministerstwa Propagandy, lecz rodzimy kapitał finansowy ma głos decydujący w wielkich reakcyjnych stronnictwach Zachodu. To Schneider i de Wendel rządzą prawicą francuską, to browarnicy, królowie chemii i sztucznego jedwabiu rządzą angielskimi konserwatystami. I tutaj szukać należy źródła zmiany w postawie prawicy międzynarodowej.

Wielki kapitał finansowy Zachodu ulokował dziesiątki i setki milionów w Niemczech i Włoszech. Te miliony dziś przynoszą świetne dochody. Ale te dochody i te miliony trwać będą tak długo, jak trwają dyktatury niemiecka i włoska. Po nas może przyjść tylko bolszewizm! — krzyczą „Nazi" i faszyści włoscy. Ale w kołach wielkich magnatów finansowych „bolszewizmem" jest nawet Roosevelt i podatek od nierozdzielonych zysków. „Bolszewizmem" jest wszystko, co narusza ich nieograniczone panowanie. I w takim sensie „Nazi" i faszyści mają niewątpliwie słuszność. Z chwilą, gdy lud włoski i lud niemiecki zrzucą pęta dyktatury, to napewno, obaliwszy feodałów politycznych, nie zatrzymają się przed feodałami gospodarczymi. Z trustami i koncernami może być źle. Milionowe lokaty niemieckie i włoskie mogą przepaść. Oto czego najbardziej, bardziej niż samolotów feldmarszałka Goeringa i czarnej armii kolonialnej Mussoliniego boi się oligarchia magnatów i parweniuszów.

Złota Międzynarodówka ma świetne informacje. Wie równie dobrze o niemieckich bateriach pod Gibraltarem, jak o nastrojach w robotniczych dzielnicach Berlina czy Mediolanu, w chłopskich chałupach Kalabrii czy Schwarzwaldu. Wie dobrze, że pierwsza porażka dyktatorów wyzwoli spętaną sugestią ich wszechmocy lawinę mas ludowych, zrodzi nową, na europejską skalę, wiosnę ludów. A do tego nie wolno dopuścić.

Zdradzieckie koligacje.

Niemcy i Włochy w Hiszpanii grożą liniom komunikacyjnym Anglii i Francji, mogą stworzyć trzeci krwawy i płonący front francuski. Ale to fraszka! Przeczytajcie natomiast sprawozdanie Sir Auckland Geddes'a o kopalniach w Rio Tinto! Od chwili wejścia wojsk „narodowych" w kopalniach nie było ani jednego strajku! Tego nie było od czasu kiedy król Alfons opuścił Hiszpanię — stwierdza z zadowoleniem right honourable gentleman. A ileż to warte, że kopalnie w Pennarcya, własność francuskiego domu Rotszyldów nie są zagrożone upaństwowieniem! To warte nawet tych parę zębów, które p. Louis Rotszyld podobno wypluł w Wiedniu w czasie przyjaznej rozmowy z hitlerowskimi szturmowcami. Dywidendy z uratowanych przez tych samych szturmowców kopalni staną się w rękach jego paryskich kuzynów źródłami złotej i kojącej dla niego pociechy.

Niemcy grożą Francji i Anglii? P. Schneider w luksemburskim koncernie „Arbed" koleguje z Siemensami i A. E. G., Kruppy i Vöglerzy z Vereinigte Stahlwerke to wspólnicy francuskich magnatów węglowo-hutniczych de Wendel. Taki angielski „Unilever" (ten sam, co u nas w Polsce monopolizuje przywóz tłuszczów jadalnych i technicznych) ulokował jakieś 100 mil. w niemieckim przemyśle tłuszczowym. Świetne przynoszą mu zyski, odkąd lud niemiecki — w wykonaniu hasła „armaty zamiast masła" — musi jeść unileverowską margarynę. Wspólnik Schneiderów, p. de Neuflize, to „Grossaktionär" frankfurckiej „Metallgesellschaft", tej samej, która w tęsknocie za rudami Hiszpanii i Marokka ulokowała niejeden milion w przedsięiorstwie „Franco & Co." (w Polsce ta szlachetna spółka pojawia się w całym komplecie w „Śląskich Cynkowniach"). Pan Courtaulds, angielski król sztucznego jedwabiu i protektor Sir Mosleya w jednej osobie, to zarazem wspólnik, właściciel wielkiego pakietu akcji, niemieckiego trustu sztucznych włókien „Aku", ze Spółką Akc. „Glazstoff" na czele tą samą, której przewodniczy wiceprezes hitlerowskiego Reichstagu Georg Freiherr v. Stauss, w czułej idylli ze swym kolegą, również członkiem Rady Nadzorczej, panem Abrahamem Froweinem. Czy więc to wszystko: węgiel, metale, sztuczne włókna, margaryna, ma przepaść wraz z upadkiem totalizmu niemieckiego?

Włochy grożą Brytyjskiemu Imperium? Ale ten sam pan Courtaulds rządzi włoską S. N. I. A. Viscosa, ale w Montecatini, największym włoskim koncernie ciężkiego przemysłu, siedzą dotąd kapitały angielskie i francuskie. Ale znaczna część rafinerii włoskich to własność Royal Dutch. Ale papiery włoskie na miliony funtów, na setki milionów franków, znajdują się w City i na giełdzie paryskiej. Czy upadek il Duce ma wszystko to pociągnąć za sobą w przepaść i unicestwić?

Takich pytań możnaby postawić tysiące.

I dlatego niech Włochy biorą Hiszpanię, niech Niemcy biorą Czechosłowację, niech od Helsingforsu po Bukareszt rozpościera się niemiecka „Mitteleuropa" a Morze Śródziemne niech stanie się włoskim Mare Nostro! Może za tę cenę dadzą spokój, może za to da się osiągnąć, by i Imperium było całe i S. N. I. A. Viscosa lub Metallgesellschaft syte i nienaruszone. Taka decyzja zapadła gdzieś w City, gdzieś w Comité des Forges, gdzieś w salach konferencyjnych światowych międzynarodowych trustów i holdingów. Złota międzynarodówka wzięła pod swe opiekuńcze skrzydła akcję Faszinternu. A decyzję Złotej Międzynarodówki wykonywa dokładnie jej reprezentacja: międzynarodówka nacjonalistów, międzynarodówka „narodowej" prawicy.

Oczywiście, rachuby związane z tą polityką, są naiwne i śmieszne. Totalizmu niemieckiego i włoskiego nie zadowolą ochłapy: one dążą do panowania nad światem. Ci co w obawie o własne kapitały wymuszają ustępstwa wobec totalizmów, nie ustrzegą się wielkich strat i ruiny. Kopią grób własnym imperiom, będącym mimo wszystko głównym źródłem ich potęgi. Przyjdzie chwila, kiedy będą musieli walczyć. Walczyć w warunkach o wiele mniej korzystnych niż obecnie, pozbawieni wielu dzisiejszych sojuszników, przeciwko wrogom o wiele silniejszym niż dzisiaj. Zrozumienie tego stanu rzeczy — oto źródło stanowiska tych przedstawicieli prawicy Zachodu, którzy, jak Churchill i de Kerillis przeciwstawiają się pędowi ku kapitulacji. Wyrachowaniu trustów i poszczególnych grup największego finansowego kapitału, przeciwstawiają oni ogólne dobro warstw posiadających swego kraju. Ale słowa ich nie znajdują oddźwięku w dyrektorskich gabinetach. Rozum nie słucha, bo kieszeń nie chce słuchać. Taką była zawsze psychologia warstw, które już się przeżyły. Tak, sto pięćdziesiąt blisko

lat temu, w Polsce interes kilku rodów magnackich przeważył w Targowicy nad interesem całego „narodu szlacheckiego" i Rzeczypospolitej... W chwili gdy tradycyjni nacjonaliści, pseudo patrioci i imperialiści spiskują z wrogami na zgubę własnej ojczyzny, obóz demokracji przejmuje obronę wszystkiego, co we Francji i Anglii jest godne obrony, obronę niezależności i godności ojczyzny. W chwili, gdy prawdziwi zdrajcy kraju, wyraźni i niewątpliwi zasiadają na honorowych fotelach prawicy, ci, których zawsze piętnowano jako wrogów ojczyzny, okazują się jedynymi jej i rzeczywistymi obrońcami.



DNIA NA DZIEŃ

FATUM

Ojciec Marian Pirożyński, uniesiony świętym oburzeniem porwał łuk, mierząc w Z.N.P. Ale na placu został kto inny, ugodzony strzałą w samo serce: przyjaciel i kamrat.

Zgromiwszy siarczyście redakcję „Płomyka" za umieszczenie dwu reprodukcji Madonny z Dzieciątkiem pędzla Rafaela, nasuwających „poważne zastrzeżenia ze stanowiska religijnego", — ojciec Pirożyński zawyrokował: „obecność tych obrazów dałaby się wytłumaczyć w wydaniu „Bezbożnika" dla dzieci, ale co na jej **usprawiedliwienie** można powiedzieć, gdy chodzi o pismo dla **dzieci katolickich?"** I cóż się okazało? Oto, o zgrozo! Ten nieszczęsny, bezbożniczy, niczem nie dający się usprawiedliwić numer 16—17 przygotowała, posiawszy zgorszenie i ściągnąwszy gromy ojca Pirożyńskiego redakcja „Płomyka"... ale jaka? Powołana i obsadzona... ale przez kogo? Zgadnijcie... przez p. Pawła Musioła!

ODSTRASZAJĄCE WZORY

„Słowo" wileńskie opisuje męczeńską śmierć D-ra Rudolfa Beera: „Tragedia b. dyrektora teatrów wiedeńskich:

„Zgon samobójczy dra Beera, wybitnego fachowca w dziedzinie teatralnej i towarzyszące temu zgonowi okoliczności, przypominają jakiś niesamowity film... Dr. Beer, natychmiast po przewrocie hitlerowskim w Austrii, zasuspendowany został w swym stanowisku kierownika teatru „Scala". Niedługo potem, dzięki interwencji różnych wybitnych wiedeńskich artystów scenicznych, dr. Beer został zrehabilitowany. Pewnego dnia, podczas przedstawienia w teatrze na Josefstadt dwaj umundurowani mężczyźni wyprosili d-ra Beera z loży, aby rzekomo odprowadzić go na policję. W rzeczywistości jednak ludzie ci zawlekli przemocą d-ra Beera na pole i tam obili go i zmaltretowali tak dotkliwie, że napadnięty stracił przytomność i przez kilka godzin leżał bezwładnie na ziemi".

Po tym Dr Beer w stanie ostatecznej depresji odebrał sobie życie.

Otóż ten wstrząsający obraz tragedii człowieka, tragedii jednej z wielu tysięcy w krajach dyktatury, wiernie odtwarza **„Słowo"**, uchodzące za pismo wybitnie filo-hitlerowskie. Powstaje więc pytanie: Czy obraz ten, sprzeczny z dotychczasową apologią faszyzmu na łamach „Słowa", jest pośrednim przyznaniem słuszności wrogom totalizmu, którzy piętnują go jako system będący wcieleniem przemocy, ucisku i barbarzyństwa?.

Niepotrzebne złudzenia

Naczelny redaktor „Słowa" wileńskiego niespodziewanie wystąpił na łamach swego pisma przeciw pewnemu organowi endecji, który zaaprobował zesłanie do Berezy poety Leona Pasternaka za wiersz wydrukowany w jednym z pism satyrycznych. Deklarując swoje zasadniczo negatywne stanowisko wobec Berezy w ogóle i dla wszystkich, p. Mackiewicz zwraca się do pisma endeckiego z takimi śmiałymi uwagami:

„Toteż „Słowo Narodowe" i inne gazety winny dać odpowiedź wyraźną, czy są za Berezą, czy za jej skasowaniem, a w razie pozytywnej odpowiedzi na drugą alternatywę, nie rechotać pobudliwie, gdy się do Berezy zsyła chociażby człowieka określonego jako „paskarz", chociażby człowieka zakwalifikowanego jako „komunista".

Jest rzeczą wątpliwą, czy wogóle można uzyskać od reakcji „pozytywną odpowiedź". „Słowo" słyszy, że rechocą, rechocą zaś żaby, a żywiołem żab jest przecież bagno.

O mocną postawę demokracji

Ostatni „Piast" zastanawia się nad źródłami powodzenia totalistycznej ofenzywy. Widzi je w chwiejności i słabości kierownictwa obozu demokratycznego.

„To co zrobił totalizm — pisze autor artykułu, czołowy działacz Stronnictwa Ludowego — i co robi dalej, jest nie tylko jego dziełem. W niemałej mierze przyczynili się do tego jego przeciwnicy. I robią to dalej. Cofnijcie się myślą poza siebie, rozejrzyjcie się po świecie, a znajdziecie pełne potwierdzenie. Nie omijajcie i swojego kraju. Nauką z niego wziętą nie pogardzajcie".

„Nieuprzedzeni znawcy dowodzą, że wszystkie narody, zażywające dziś szczęścia totalistycznych rządów, byłyby się przed nim broniły do upadłego, gdyby je do tej walki prowadzono. Że oświadczyłyby się przeciw nim ogromną większością, gdyby im na swobodne głosowanie pozwolono. Pierwszego nie było, drugiego nie będzie. Dyktatura wie, że każde rozluźnienie więzów sprowadzić musi jej upadek".

„Trzyma się więc wszystko jak w kleszczach żelaznych. Na opornych ma oprawców, kryminały i obozy karne, dla naiwnych demagogię i miraże nieuchwytnego szczęścia. Prawdziwe wartości zachowuje dla swoich i dla siebie. I nie zmieni się".

Tylko bardzo naiwny może uwierzyć, że uchwalone choćby z największym entuzjazmem rezolucje zatrzymają postęp totalizmu, a najbardziej siarczyste przemówienia mogą zburzyć choćby jeden jego bastion. Jakie zaś znaczenie mają wybory przeprowadzone pod jego patronatem, dowodzą choćby niedawne wypadki rumuńskie".

Głos ludu...

„Zielony Sztandar" drukuje odezwę, wzywającą chłopów do uroczystego obchodu Święta Ludowego w dn. 5 czerwca. W odezwie czytamy:

„Czasy dzisiejsze, których ciężar i dotkliwość chłopi tak bardzo odczuwają, stawiają przed nami nakaz wielkich i ofiarnych wysiłków. Nie tylko runąć ma to wszystko, co jest w życiu złe i niesprawiedliwe, co stanowi zaporę na drodze do lepszego jutra, ale musi też powstać gmach nowego życia, wybudowany przez samych chłopów. Chłopi więc muszą mieć siłę, która pozwoli im spełnić te ich wielkie zadania. A siłę tę daje tylko własna chłopska organizacja. Odwieczni i nowi wrogowie wsi liczą na bierność masy chłopskiej i na jej słabość polityczną. A lekceważyć chłopów będą wszyscy, gdy nie będzie słychać ich zbiorowego kroku, gdy nie będzie widać owianych jednym duchem i jedną wolą kierowanych chłopskich zastępów. W dzień święta ludowego musi usłyszeć cały kraj, że chłopi są, że jest ich nie tylko wielka liczba, ale, że posiadają oni także potężną i sprawną organizację. W momencie, w którym się decyduje, po jakiej drodze potoczy się życie naszego państwa, głośniej niż kiedykolwiek, winien odezwać się głos wielomilionowej warstwy chłopskiej — tych, którzy „żywią i bronią", którzy są fundamentem narodu i odrodzicielem jego sił, a którzy winni też być współgospodarzami państwa".

I będą nimi. Nic nie pomoże dorożkarska eskapada przeciw ruchowi ludowemu, nic nie pomoże wywieszanie na nowo znanego chlubnie szyldziku Chłopskiego (?) Stronnictwa Rolniczego, galwanizowanego chyba zastrzykiem wadowickiego „radykalizmu"! Choćby nawet cały szwadron dorożek powiózł na wieś kampanię kadzichłopów — demokracja zwycięży, bo w niej jest przyszłość i obrona Rzeczypospolitej.

Naprawdę nie było tak źle

Wiadomo z prasy codziennej, w jaki sposób zareagował papież na wizytę Hitlera w Rzymie. Wiadomo, w jak ostrych słowach napiętnował fakt wywieszenia w pobliżu Watykanu flag ze swastyką, która — wedle słów papieża — nie jest krzyżem Chrystusa. Bezpośrednio przed wizytą Hitlera papież wyjechał do Castel Gandolfo, bilblioteka i galeria watykańska została zamknięta, a korpus dyplomatyczny, akredytowany w Rzymie, nie mógł wziąć udziału w powitaniu kanclerza Niemiec, bo nuncjusz papieski odmówił. „Osserwatore Romano" w ogóle o wizycie nie wspomniał. Niemal jednocześnie opublikowane zostały tezy przeciw rasizmowi, rozesłane przez Watykan do wszystkich uczelni katolickich na całym świecie. Tezy te określają rasizm jako „fałszywą wiedzę i bezwstydne oszczerstwo". Profesorowie i uczeni wezwani zostali do zwalczania sprzecznych z katolicyzmem zasad doktryny hitlerowskiej.

Prasa III Rzeszy odpowiedziała napaściami i kpinami; papieża wyśmiano w organie min. Goebbelsa jako „starego pana", który bezsilnie zżymał się, obserwując z daleka pilnie przez lornetkę Rzym tonący w powodzi swastyk. A prasa włoska zaatakowała Akcję Katolicką za „antynarodowe" wystąpienie.

To są rzeczy znane. Ale warto podkreślić, jak cierpko i wprost złośliwie rzymski korespondent „Gazety Polskiej" skomentował zatarg między faszyzmem a Watykanem. Cierpko i złośliwie oczywiście w stosunku do Watykanu — czego zresztą nie trudno domyśleć się czytelnikowi, który zna linię polityczną tego pisma. Posłuchajmy więc, jak pan F. Ch. tłumaczy głębsze przyczyny zatargu: „Watykan **rości sobie** pewne specjalne uprawnienia moralne wobec Rzymu". Jak na organ stronnictwa, w którego deklaracji ideowej figuruje wierność katolicyzmowi — powiedzenie wcale, wcale oryginalne. A jaka nieukrywana satysfakcja bije ze stwierdzenia, że Hitler wcale nie zabiegał o przyjęcie przez papieża! „Fakt ten sfery watykańskie odczuły bardzo dotkliwie". Dobrze im tak!

Pan F. Ch. w tonie raczej aprobującym przedstawia ataki prasy faszystowskiej na włoską Akcję Katolicką, która „zachowywała się w sposób niezgodny z duchem i dyrektywami partii faszystowskiej". Rozumiemy doskonale, że w oczach korespondenta „Gazety Polskiej" takie postępowanie katolików włoskich zasługuje na stanowcze potępienie — całe szczęście, że naprawdę nie było tak źle, pociesza nas pan F. Ch., bo oto wbrew stanowisku zajętemu przez Watykan i Akcję Katolicką „niektórzy księża włoscy z prowincji oczekiwali na przyjazd Hitlera, trzymając chorągiewki ze swastyką".

Przecież zdarza się nieraz w czasie wyborów, że „niektórzy" urzędnicy z prowincji maszerują czwórkami z orkiestrą na czele do urny wyborczej, gdzie jawnie i z całym entuzjazmem głosują na stronnictwo rządowe. Ale nikt — a już najmniej sami „wybrani" takim sposobem posłowie — nie uważają tego za sprawdzian orientacji politycznej rzesz urzędniczych. Cóż, człowiek, zwłaszcza na prowincji, jest słaby, zależny. A proboszcz na wsi włoskiej jest ostatecznie tak samo człowiekiem, jak w innych krajach urzędnik w małym miasteczku. I chorągiewka ze swastyką w jego ręku znaczy akurat tyle, co kartka wyborcza w ręku zalęknionego potentata kancelaryjnego.

SZCZĘŚLIWY KRAJ

W notatce pod powyższym tytułem „Robotnik" donosi, że „premier de Valera zarządził ostatnio zwolnienie 6 więźniów politycznych. Zarządzenie to równoznaczne jest z powszechną amnestią, gdyż liczba więźniów politycznych w Irlandii wynosiła właśnie 6 osób".

Teraz wjazd do więzienia porośnie niewątpliwie trawą ku chwale człowieka, a na chwałę Irlandii może niezadługo całe więzienie sprzedane będzie z licytacji jako gmach bezużyteczny, szpetny i ponury. Albo może przebudowany zostanie na muzeum martyrologii irlandzkiej z czasów walk o wolność i niepodległość.

OSTROŻNOŚĆ NIE ZAWADZI

W Rumunii rozpocznie się w najbliższych dniach wielki proces osławionego przywódcy Żelaznej Gwardii p. Korneliusza Zelea Codreanu. Ten niedoszły zbawca i odnowiciel ojczyzny oskarżony jest o to, że pozostawał na żołdzie wiadomych zagranicznych mocodawców, że zawiązał spisek przeciwko władzom, że rozsnuł misterną sieć szpiegowską i zarzucił ją na wszystkie najważniejsze organy państwowe, nie wyłączając sztabu generalnego. Codreanu oskarżony jest nadto o nielegalne gromadzenie broni i uprawianie krwawego terroru.

W swoich wezwaniach i hasłach był bardzo zdecydowany i zapowiadał ,że swój zwycięski pochód do władzy będzie znaczyć mogiłami przeciwników „dynamiki" nowocześnie „narodowej". Był już bliski tryumfu, a przez to stał się jeszcze bliższy sercu naszych rodzimych nacjonalistów, którzy nie posiadali się z radości na widok podbojów Codreanu i słali posłów do obozu Żelaznej Gwardii, bijąc pokłony i ofiarowując przyjaźń i kamractwo.

Dziś w obliczu ponurej sromoty Korneliusza poczuli się nieswojo, ale mimo to próbują nieśmiało osłabić wrażenie zdradzieckich praktyk rycerskiego Codreanu. „Prosto z mostu", które poczuło się wielce zaszczycone wywiadem, niedawno udzielonym mu łaskawie przez

samego wodza Żelaznej Gwardii, obecnie zawiedzione wytyka mu lekko błędy i małostkowość, ale jednocześnie próbuje go przedstawić, jako ofiarę..., ofiarę dyktatury „liberalno - demokratycznej": „Tak to — oświadcza „Prosto z mostu" — wódz młodych narodowców rumuńskkich płaci koszty swego niezdecydowania, kiedy to w okresie rządów Gogi nie umiał wznieść się ponad małostkowość partyjną i nie zdobył się na uchwycenie władzy w ręce wespół z cuzystami. Zamiast dyktatury narodowej, przyszła dyktatura.. liberalno - demokratyczna, która próbuje teraz likwidować „Żelazną Gwardię". Ale „oczywiście traktować trzeba wszystkie te (wyłuszczone wyżej) oskarżenia z dużą ostrożnością".

Dwór rumuński, który umożliwił dojście do władzy różnym reakcyjnym Cuzom i Gogom, dziś najwidoczniej słucha... ‚podszeptów masońskich" i zamiast hitlerowskiej, wzgardzonej dyktatury szlachetnego Korneliusza wprowadza nową w Europie formę „tyranii liberalno-demokratycznej".

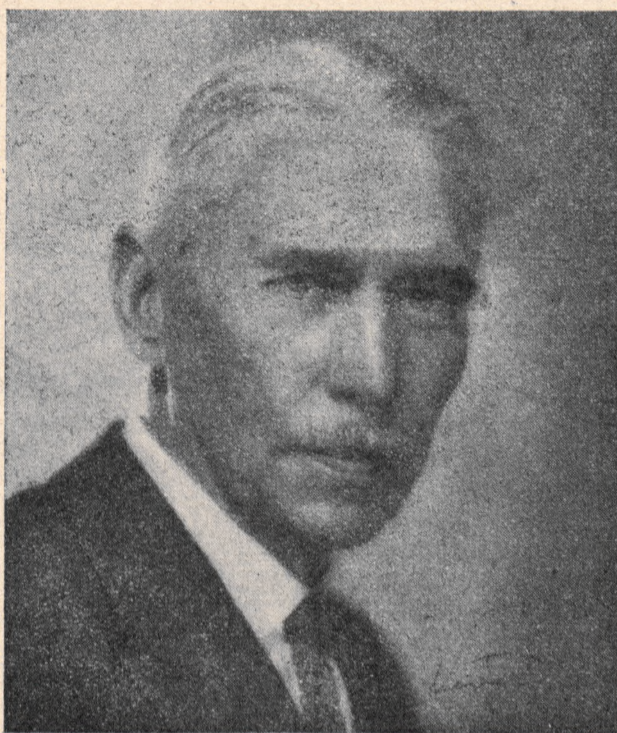
Rewelację „Prosto z mostu" o srożącej się dyktaturze demokratycznej w Rumunii radzimy mimo wszystko przyjąć bardzo spokojnie, śledząc jednak bacznie wyraz oczu autora i zachowując naprawdę „dużą ostrożność".

Słowo wspomnienia o człowieku idei

Niedawno zmarł w Warszawie Stefan Boguszewski. Odszedł jeden z tych, którzy walczyli o wyzwolenie Polski — tych jednak, którzy po osiągnięciu tego celu nie zasklepili się w sobie, rozumiejąc, że nie wszystko jest jeszcze osiągnięte.

Od udziału w niepodległościowych organizacjach uczniowskich i studenckich prowadziła jego droga do walki czynnej, do organizacyj strzeleckich i Legionów Józefa Piłsudskiego. W Odrodzonej Polsce działa Boguszewski głównie na terenie wsi, prowadzi szkoły rolnicze, pracuje w organizacjach rolniczych, zajmuje odpowiedzialne stanowisko w Państwowym Banku Rolnym. Jest związany ze wsią nie tylko jako fachowiec — związany jest również ideologicznie jeko członek Str. Ludowego „Wyzwolenie".

Podniesienie kultury wsi — na który to temat prowadzi wykłady na W. W. P. w Warszawie — podniesienie poziomu życiowego chłopa jest główną osią jego prac i zainteresowań. Wiązał Boguszewski ściśle kulturę wsi z polityczną dojrzałością chłopa, z jego zdolnością do samodzielnego rozwiązania podstawowej bolączki: kwestii rolnej.



STEFAN BOGUSZEWSKI

Podkreślał najwyraźniej zawsze, że wieś polska zdana jest na własne siły, że duże postępy na drodze podnoszenia kultury, olbrzymi rozrost organizacyj zarówno oświatowych jak społecznych jest dziełem wyłącznie rąk chłopskich, dokonywanym w najmniej sprzyjających warunkach. „I doprawdy — mówił Boguszewski w jednym z odczytów w r. 1928 — jedynie niesłychanej prężności duchowej chłopa, odczuciu potrzeby zdobycia wiedzy przypisać należy te przeobrażenia, którym podlega ludność wiejska, czyniąc wysiłki ponad wszelkie zrozumienie".

Nadzieje, jakie wiązał Boguszewski z przewrotem majowym, doprowadziły go w r. 1928 do wystąpienia z „Wyzwolenia" i przejścia do BBWR. Godność senatora, jaką dwukrotnie uzyskał, nie była jednak dla Boguszewskiego synekurą, nie przestał odczuwać żywego związku ze społeczeństwem, które z trybuny senackiej miał reprezentować. To też, kiedy drogi stronnictwa, do którego przeszedł, nazbyt stały się odległe od zadań, które na nim ciążyły, zrywa Boguszewski w r. 1932 z BBWR.

Miał tę niesłychanie rzadką odwagę publicznego przyznania się do błędu, miał odwagę poddać rewizji złudzenia, jakie w ciągu lat żywił i jakie wpływały na jego polityczną wędrówkę. Porównajmy daty. Rok 1932 był właśnie rokiem naporu faszyzmu, tryumfującego w Niemczech i zuchwale podnoszącego głowę w innych krajach. Faszyzm uznał Boguszewski za największego wroga rzesz pracujących, za największego wroga ludzkości, niosącego jej kult zdziczenia i grożącego jej zaborczymi najazdami. Instynktem wieloletniego działacza społecznego, rzeczywiście a nie na niby związanego z dolą i niedolą chłopa, uznał, że jego miejsce jest wśród tych, którzy położą tamę pochodowi totalizmu.

Zdolność stałego konfrontowania drogi, po której kroczymy z wytkniętymi ideałami, zdolność burzenia najpiękniejszych nawet złudzeń i budowania na nowo w trudzie i mozole nowych dróg wiodących ku lepszej przyszłości — oto rzadka spuścizna, jaką zostawił Stefan Boguszewski, którego życie wypełnione było czynnym patriotyzmem i głęboką troską o przyszłość ludu i potęgę Rzeczypospolitej.

Od jakiegoż to czasu w łono społeczeństwa naszego wgryzła się ta zajadła namiętność, ta nietolerancja obrzydliwa, ten przymus zadawany sumieniom, te wywoływania i potępiania ludzi dla przekonań ich, te podżegania i rozterki?

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

„Niech inni zarzucają zasłonę"

O pewnym osobliwym reporterze

Z okazji mego dialogu radiowego p. t. „Powieść a reportaż", wygłoszonego niedawno przed mikrofonem Polskiego Radia — ze współudziałem, jako partnera — oponenta, utalentowanego młodego pisarza, Jana Waśniewskiego, otrzymałem od człowieka, którego szanuję, list, gdzie autor zarzuca mi lekceważenie reportażu, jako formy wypowiedzi pisarskiej, nawet gdy idzie o reportaż publicystyczny, i pomimo mych wyjaśnień na ten temat w toku owego dialogu. „Wyczuwało się w panu — pisze — niechęć wobec tej formy, tak żywo odpowiadającej duchowi czasu, nowoczesnej wrażliwości czytelnika, potrzebie aktualności, wymaganiom podyktowanym przez tempo dzisiejszego życia"... I dalej: „Wysławia pan co prawda zmarłego przed paru laty reportera francuskiego, Alberta Londres, ale za mało nam pan o nim powiedział, byśmy mogli sobie jasno postać tego pańskiego faworyta w dziedzinie reportażu publicystycznego wyobrazić".

Mikrofon radia nie jest dzisiaj nigdzie wolną trybuną, — dlatego na łamach „Epoki" dopowiem to, czego z powodów ode mnie niezależnych nie mogłem rzucić na antenę. Powiem, dlaczego tak bardzo cenię i szanuję Londres'a; co sprawia, że postawę jego, jako reportera, uważam za zgoła wyjątkową i godną czci.

Albert Londres był tylko dziennikarzem i chlubił się tym, bo potrafił uczynić z tego zawodu trybunę obrońcy uciśnionych w różnych punktach globu. Jego książki-reportaże, to był *głośnik*, z którego grzmiały odważnie i niestrudzenie wieści o krzywdzie ludzkiej, krzywdzie *zorganizowanej przez przemoc* — czy to byli biali, czarni czy żółci, chrześcijanie, Żydzi, mahometanie czy buddyści.

Pole, na którym Londres zbierał pokłosie ludzkiej niedoli, było olbrzymie. Zjeździł w swej dobrowolnej misji cały świat, przemierzył lądy i morza w różnych kierunkach; można powiedzieć, całe swe życie dojrzałe spędził w podróżach odbywanych w takich warunkach, w jakich odbywać je musi rasowy dziennikarz, pragnący dotrzeć do zakamarków, gdzie przemoc, fanatyzm czy szaleństwo kryją się przed światłem dziennym (w obliczu rzeczywistości dnia dzisiejszego należałoby powiedzieć: *kryły się*).

Były to włóczęgi podwójnie niebezpieczne: na miejscu, gdzie wykrywał to, co chciało pozostać w ukryciu, i we własnej ojczyźnie — gdyż możni tego świata nigdzie nie lubią, gdy ktoś odsłania rany społeczne, za które spadać może na nich moralna odpowiedzialność. Ten Francuz pokazywał Francji częstokroć rzeczy bardzo niemiłe, pokazywał je *publicznie*, w drukowanym słowie, bo to były sprawy obchodzące *opinię publiczną*. Gdyby je był szeptał na ucho, obróciłby w plotki globtrotera to, co chciał, by, jako naocznie stwierdzona rzeczywistość, poruszyło sumienia i wywołało naprawienie zła.

Dla pełnienia takiej służby społeczno-pisarskiej (Londres świetnie władał piórem), trzeba było być człowiekiem i fizycznie, i moralnie silnym, inteligentnym i bezinteresownym. Trzeba było ponadto kochać tak pojęty niebezpieczny zawód reportera w wielkim stylu. Te wszystkie dane posiadał Albert Londres i dlatego mógł owocnie pełnić swą służbę publiczną aż do końca, do śmierci na posterunku (zginął w r. 1932 podczas pożaru statku „Georges Philippart" na oceanie Indyjskim, w powrotnej drodze z Dalekiego Wschodu, gdzie badał konflikt rasy żółtej podczas ówczesnej inwazji japońskiej na Szanghaj).

Podróże Londres'a to były wyprawy w ściśle określonym celu: zbadać jakiś problemat socjalnej natury; zdemaskować, wykryć go w jego norze i wywlec na światło jakiś hańbiący ludzkość zwyczaj czy proceder; przyjrzeć się życiu tych, co z mocy prawa lub nieszczęścia znaleźli się poza nawiasem społeczeństwa. Oto czego szukał, co tropił, co oświetlał i pokazywał nieustraszony Londres. Każda jego książka obrazuje jakieś konkretne zagadnienie ogólnoludzkiej wagi, czasem bezpośrednio dotyczące Francji.

Spójrzmy na ich tytuły. „W katordze" — los deportowanych do Kajenny i Numei skazańców na ciężkie roboty. Dalej tom pod straszliwym tytułem „Dante nic nie widział", w nawiasie „Biribi" — we francuskiej gwarze żołnierskiej nazwa afrykańskich batalionów dyscyplinarnych, uwieczniona przez barda ludu paryskiego, Arystydesa Bruant'a w jego słynnej posępnej *chanson:* „A Biribi". Potem wydaje książkę-reportaż „U wariatów", potem „Szaleństwo Chin", potem „Droga do Buenos-Aires" (los ofiar handlu żywym towarem). Trzy ostatnie lata życia — trzy nowe wyprawy — trzy nowe książki: 1929 „Ziemia czarnych niewolników" z podtytułem „handel czarnymi" — 1930 „Żyd wieczny tułacz zawędrował" (peregrynacja z londyńskiego Whitechapel przez Pragę, Ruś Podkarpacką, ghetta Węgier, Bukowiny, Lwowa, Krakowa, Wilna, Warszawy — Nalewki i... Góra Kalwaria — do Palestyny) — wreszcie, w 1931, ostatnia „Poławiacze pereł" (w zatoce Perskiej).

„Ziemia czarnych niewolników" (*Terre d'ébène*) wywołała w pewnych kołach francuskich wielkie wzburzenie, bo poruszyła mocno opinię kraju. Całkiem zrozumiałe: Londres maluje tam stosunki panujące w najmłodszych koloniach francuskiego Imperium Afrykańskiego, w Zachodniej Afryce Francuskiej (A. O. F.) i w Podrównikowej Afryce Francuskiej (A. E. F.), wedle nazw oficjalnych, wytyka braki i błędy polityki kolonialnej swego kraju na ziemiach Czarnego Lądu.

Polskie mądre przysłowie „Prawda w oczy kole" nie zawodzi pod żadnym stopniem szerokości geogra-

ficznej. To też zależna od ministerstwa kolonji prasa rzuciła się na śmiałka. Londres stał się w jej słowniku mieszańcem, Żydem, łgarzem, błaznem, podejrzanym agentem aferzystów, kanalią (porównaj nasze: „żydokomuna“ i „obce agentury“). Stara jak świat historia. Zarząd Główny Afryki Zachodniej zaprosił wreszcie (jednak!) tuzin dziennikarzy i tuzin parlamentarzystów, by przekonali się na miejscu, że — jak pisze autor w gorzkiej przedmowie — „ten, którego dotąd mieli za człowieka, jest po prostu osłem“. Nadzieje te zawiodły. A książka cieszącego się wielkim autorytetem znakomitego pisarza, André Gide‘a „Podróż do Kongo“, nie rozjaśniła ciemnych barw relacji Londres‘a. W kraju o tak wyrobionej opinii publicznej jak Francja — dzięki czemu „czynnikami miarodajnymi“ jest tam właśnie ta opinia — nie jest łatwo obalić rzeczową krytykę wygodnym a chytrym frazesem „plucia we własne gniazdo“. W ostatnim rozdziale „Ziemi“, noszącym tytuł „Kilka refleksyj po podróży“, pisze Londres słowa, uzasadniające dobitnie jego postawę moralno- patriotyczną, jego pojmowanie obowiązków pisarza-obywatela: „Schlebiać — mówi — swemu krajowi, to nie jest mu służyć, a kiedy ten kraj nazywa się Francją, tego rodzaju kadzidło nie jest hołdem lecz zniewagą. *Francja, osoba dorosła, ma prawo wiedzieć prawdę*“. Można, wobec obrazu zjawisk ujemnych zająć, zdaniem autora, dwojaką postawę: zarzucić na ten obraz zasłonę lub nieco światła.

„Niech inni zarzucają zasłonę!“ — woła Londres, zamykając swą przedmowę.

W kilka miesięcy po zgonie Alberta Londres, najszlachetniejszego reportera świata, zasługi jego wobec ojczyzny i cywilizacji oficjalnie zostały uznane i stwierdzone pośmiertnym odznaczeniem pisarza Legią Honorową.

Ten piękny gest demokratycznej i wolnej Francji, w którym się wyraził niepożyty duch sprawiedliwości jej ludu, świecić winien jak drogowskaz prawdziwej dumy narodowej, bałamuconym i wciąganym w mrok niewoli ludom dzisiejszej Europy.

WACŁAW ROGOWICZ

Święte skarabeusze

Obserwując życie publiczne w Polsce, nie odnoszę wrażenia aby pojęcie autorytetu prawa było nazbyt wśród rodaków upowszechnione, u wszystkich jednakie i głębiej przez każdego przemyślane. A wartoby w tej materii dojść jednak do jakiegoś porozumienia.

O przykłady rzecz ilustrujące — nietrudno. Trzeba tylko się dobrze rozejrzeć, lub w przeszłość nie za bardzo odległą sięgnąć.

Niedawno zmarł w zapomnieniu, dopiero na katafalku odznaczony, głośny swego czasu Wielkopolski kmieć — Drzymała. Wóz jego zaszczytne zajął miejsce w dziejach prześladowań Narodu przez zaborców. Miał chłop ziemię — nie miał domu. Niemcy, chcąc go skłonić do sprzedania ziemi koloniście niemieckiemu, na podstawie przepisów budowlanych, nie pozwalali mu wystawić chałupy. Chłop wziął się na sposób. Kupił wóz, w rodzaju furgonu do transportu mebli z żelaznym piecykiem i urządził sobie w nim niezłe mieszkanko. Było to naigrawanie się z całego „aparatu“ Cesarstwa Niemieckiego, nastawionego na rugowanie Polaków z ziemi. Oto całe to potężne Cesarstwo, któremu niebawem sądzone było wytrwać cztery z górą lata w boju niemal z całym światem — ustąpiło przed dzielnym Drzymałą.

W „Faraonie“ Prusa armia Ramzesa zatrzymuje się w pochodzie, bo przez drogę pełzną dwa święte nietykalne skarabeusze. Skarabeuszem osłaniającym naszego Drzymałę — był autorytet prawa. Wszelkie władze Cesarstwa okazały się bezsilne— bo ustawa nie przewidywała domostw ludzkich na kółkach!

Gdy śmierć przypomniała społeczeństwu Drzymałę i przeczytałem o nim w pismach, dłuższą chwilę poświęciłem rozmyślaniom, co by z nieboszczykiem uczyniono, gdyby on swój oryginalny eksperyment wypróbował no... np. pod Kiszyniowem za współczesnych mu rosyjskich, carskich czasów. Napewno nie przewracano by archiwów w poszukiwaniu pasującego do krnąbrnego kmiotka przepisu. Poprostu pierwszy lepszy funkcjonariusz ówczesnej policji rosyjskiej wyciągnąłby za „mordę“ chama z jego budy; wlepili by mu kilkanaście gum na posterunku i bez ceregieli administracyjnie wysłali by go do jakiegoś Berezowa *). Skarabeusz autorytetu prawa nie był mocen podówczas w Rosji powstrzymać temperamentu nawet prostego policjanta. Berezowa nie podsunęły mi (broń Boże!) dźwiękowe analogie. Przeczytałem, że w Wiedniu uwięziono 82-letniego starca, profesora Zygmunta Freuda. Dzięki jego właśnie metodzie badań podświadomości ustaliłem, że fakt jego uwięzienia przypomniał mi, iż któryś z b. ministrów Piotra Wielkiego, Mienszikow czy Osterman, został wysłany, jako rówieśnik Freuda, właśnie do Berezowa. Uczyłem się tego w II klasie gimnazjum rosyjskiego. Żal mi się wtedy zrobiło staruszka. I teraz było to samo z Freudem. Jak to się jednak wszystko powtarza!

I Kiszyniów nasunął mi się nie bez przyczyny. To była nie tylko stolica sławnych na cały świat pogromów żydowskich, ale jednocześnie kolebka ruchu nacjonalistyczno - monarchistycznego pod wodzą Puriszkiewicza, Kruszewana i Szulgina — pod patronatem premiera „konstytucyjnej“ już Rosji — Piotra Stołypina. Ktoś z satyryków rosyjskich rzekł, że gdy z kulturalnego rosjanina zeskrobać zachodnio europejski naskórek — wylizie azjata. O Stołypinie tego powiedzieć nie można. Był to mąż stanu, w którym odwieczne pierwiastki ducha władzy rosyjskiej — bizantynizm importowany przez chrześciaństwo wschodnie i tradycje tatarskiego najazdu, wzajemnie się przeniknęły z duchem europejskiego państwa. W walce z duchem caratu moskiewskiego padły słowiańskie republiki Nowogrodu i Pskowa. Poprzednicy Stołypina próbowali topić we krwi „wymysły zgniłego Zachodu“. Stołypin zrozumiał, że wszak można w europejskie formy wlać mongolsko - bizantyńską treść, że można i trzeba rewolucyjnym idejom przeciwstawić ideę. Jaką? „Bij Żydów. Zbawiaj Rosję!“ — Trochę za mało. I oto w głowie tego eurazjaty wylęgła się perwersyjna myśl: nie dość jest, żeby pies posłusznie chodził na smyczy, w kagańcu i bał się bata. Trzeba, żeby ten pies na pańskie gwizd-

*) Miasteczko w północnej Syberii w pobliżu Oceanu Lodowatego. Bezpośredni następcy Piotra I na tronie carów wysyłali tam na zesłanie ulubionych ministrów swoich poprzedników.

nięcie ochoczo przynosił dla siebie w zębach i kaganiec i smycz i bat! Z raba przymusowego — zrobić raba dobrowolnego. Skoro ginie autorytet Pomazańca Bożego — niechże powstaje z woli ludu autorytet... czyjkolwiek, aby wszystko zostało po staremu. I śniły się pewnie niedoszłemu Duce czy Führerowi wielkie mityngi, parady, plebiscyty i Duma Państwowa z samych Puryszkiewiczów — która zbierałaby się aby wysłuchiwać co powie... autorytet.

Skłonny jestem bardzo dopatrywać się ojcowstwa modnych obecnie prądów właśnie u tego przedwcześnie zgasłego, a raczej zgaszonego, męża stanu. Widzę jego ducha we wszystkich odmianach totalizmu.

Powiedziałem dość, aby mnie nie posądzono o sympatię dla hitleryzmu. Mogę więc śmiało powiedzieć do czego zmierzam.

Otóż stołypinizm zatruł metody władzy w Trzeciej Rzeszy, zatruł źródła prawa... ale skarabeusza zdeptać nie zdołał. Ktoś mi opowiedział, że w berlińskich ogrodach są żółte ławki dla Żydów. „Nur für Juden". Gdy usiądzie tam chrześcianin — Żyd woła policjanta i ten usuwa „goja", oddając Żydowi jego miejsce.

Wymowa takich faktów jest wstrząsająca. Niewątpliwie są Żydzi, którzy nie mogą się pogodzić ze stanowiskiem „prawie człowieka", którzy wolą nie siadać na specjalnie dla nich wyznaczonych miejscach. Ale szara masa ludzi nie umie poświęcać życia dla zasad. Chce żyć. Żyć tak — jak pozwalają. W Niemczech ustawy zabraniają Żydom mnóstwa rzeczy. Ale usiąść sobie na żółtej ławce w ogrodzie i oddychać świeżym powietrzem Żydowi wolno. Nic mu się nie stanie. Nikt go nie będzie bił. Policjant dla niego spędzi „goja" z żółtej ławki. Za nim stoi... autorytet prawa.

A w takim Kiszyniowie — nigdy nie było wiadomo, czy dziś można bezpiecznie spacerować w ogrodzie— czyż też będzie pogrom. Byle okazja i... gotowe! Imieniny policmajstra — i już. Biej židow — spasaj — Rassiju! Jeśli źródła są zatrute — można je jednak oczyścić, odkazić... Prędzej czy później...

Dużo trudniej jest wyhodować święte skarabeusze tam... gdzie ich nie ma. *WŁ. WISKOWSKI*

Krytyka literacka która boi się prawdy

O sprawie *tendencyjności* w krytyce napisano już chyba nie mniej, niż na ten sam temat w sztuce i literaturze, boć jest to przecież w istocie rzeczy ten sam problem. Skoro bowiem krytyka wyraża poniekąd także i polityczną teorię literatury, to w obronie krytyki społecznie i politycznie, czy filozoficznie tendencyjnej można powiedzieć z grubsza to samo, co w obronie tendencyjnej twórczości oryginalnej. I podobnie mniej więcej ma się rzecz, o ile idzie o argumenty *przeciw* tendencji w krytyce i twórczości.

Zagadnienie *odpowiedzialności* wiąże się ściśle z problemem tendencji. Krytyk, który nie boi się zarzutu „politykowania , krytyk, który świadomie w pracy swej posługuje się kryteriami społeczno - politycznymi — służy oczywiście pewnej idei. Jest przedstawicielem pewnego obozu politycznego. Wartość jego pracy krytycznej, jej *pożytek* dla literatury narodowej zależy więc od roli, jaką dany obóz polityczny spełnia w życiu narodu. Bo obóz polityczny jest przecież jednocześnie i obozem kulturalnym. Reprezentując pewien ideał ustrojowy, pewną koncepcję współżycia ludzkiego, przede wszystkim w ramach narodu — reprezentuje też pewien ideał kulturalny. Ten ideał będzie służył wszechstronnemu rozwojowi kultury narodowej i będzie w tym wypadku ideałem postępu, demokracji, humanizmu — albo też, świadomie lub nieświadomie, będzie ten rozwój tamował, będzie więc ideałem wstecznictwa, obskurantyzmu, programem dławienia kultury, programem ubożenia i degradowania treści życia narodowego.

I tu tkwi chyba jedna z najpoważniejszych trudności praktycznych oczekujących krytyka - demokratę. Tu leży przyczyna, dla której tak trudno nieraz przepłynąć zwycięsko między *Scyllą* tendencji a *Charybdą* odpowiedzialności. Przecież demokracja jest wielką armią kultury ludzkiej i przede wszystkim narodowej. Wszelka kulturalna zdobycz demokracji staje się własnością narodu, jak naodwrót: każde osiągnięcie kultury narodowej wzmacnia pozycje demokracji. Bo demokracja jest tylko polityczną i kulturalną *awangardą* narodu, nie może więc i nie chce formować się w obrębie życia narodowego w jakąś ekskluzywną i arystokratyczną na swój sposób *elitę* kulturalną, która ofiarując swe osiągnięcia kulturze narodowej, nie dostrzega, nie potrzebuje czy zgoła nie chce dostrzegać tego, co się dzieje poza jej ścisłymi ramami, a co, jeżeli istotnie wzbogaca kulturę narodową, jeżeli istotnie podnosi życie narodowe na wyższy poziom i podciąga je na wyżyny humanizmu — stanowi przez to samo wielką zdobycz demokracji, kolejny etap w jej pochodzie ku zwycięstwu. Jeżeli najgłębszą treść humanizmu wyraża zasada: *jestem człowiekiem i nic ludzkiego nie jest mi obce* — to demokracja na tej właśnie humanistycznej zasadzie opiera swój czynny, pozytywny, twórczy stosunek do kulturalnego życia narodu.

PROTEKCJONIZM POLITYCZNY W KRYTYCE

I na tej zasadzie opiera się też odpowiedzialna i twórczo, nie jałowo tendencyjna krytyka literacka, jako w szerokim zakresie pojęta kulturalna działalność demokracji. Postępowa literatura jest tylko awangardą literatury narodowej, nie odgradza się od niej i nie przeciwstawia się jej w jakiś absolutny, apodyktyczny, ekskluzywny sposób, który z pisarzy i krytyków - demokratów uczynił by kastę, czy elitę, przemądrzałą i wyniosłą, skazaną na nieuchronne z biegiem czasu skostnienie. Odpowiedzialność kulturalna i wprost już polityczna krytyka - demokraty zarówno wobec samej demokracji, jak i wobec narodu, co — powtarzamy — nie jest w ogóle żadnym, realnym przeciwstawieniem, polega właśnie nie na czym innym, jak na utrzymaniu i zacieśnianiu tego żywego twórczego związku wzajemnego między demokracją a kulturą narodową. To znaczy: krytyk musi widzieć zjawiska pozytywne także w utworach pisarzy, którzy są nawet najbardziej dalecy od jego stanowiska społeczno - politycznego, a z drugiej strony nie wolno mu zamykać oczu na błędy, niedomagania i poślizgnięcia się autorów, bliskich mu ideowo. Krytyk, który nie widzi zalet u „obcych" ani wad u „swoich", składa dowód wielkiego prymitywizmu umysłowego.

Tym bardziej zaś krytyk, który widzi te rzeczy, lecz przemilcza je dla złudnych i zawodnych względów solidarności (nie wywlekać na zewnątrz...), więcej szkodzi, niż najzawziętsi przeciwnicy. To właśnie będzie krytyka nieodpowiedzialna, szkodliwa dla demokracji. Taka krytyka potrzebna jest wstecznictwu, które boi się rzeczywistości, boi się prawdy, bo ta rzeczywistość i ta prawda przeciw niemu się zwraca, przeciw niemu przemawia. Odpowiedzialna kulturalnie i politycznie krytyka demokratyczna nie potrzebuje i nie może naśladować wzorów, pozostawionych np. przez Stanisława Tarnowskiego! Między twórczą, odważną i szczerą krytyką literacką, a krytyką oportunistyczną, koniunkturalną i tchórzliwą zachodzi mniej więcej taka różnica, jak między prawdziwie ideową i dalekowzroczną *polityką*, a pospolitym *politykierstwem*.

Krytyk, służący prawdziwie wielkiemu ideałowi kulturalnemu, ideałowi, do którego należy przyszłość, musi wystrzegać się zarówno ślepoty, choćby połączonej z najuczciwszymi intencjami jak i oportunizmu, choćby podyktowanego najchytrzejszą „roztropnością". Tylko w ten sposób uczyni zadość postulatowi odpowiedzialności. I rzecz dziwna, jeżeli postać autora, drżącego przed krytykiem, stała się już dawno tematem anegdot i humoresek, jeżeli krytyka dawno już okrzyczana została jako przysłowiowa jemioła, pasożytująca na zdrowym drzewie twórczości — to bardzo chętnie przemilcza się odwrotne, nie mniej śmieszne, ale bodajże szkodliwsze jeszcze zjawisko: strach krytyka przed autorem. Tak, krytyk, który boi się autora — to zjawisko bynajmniej nie rzadsze, niż autor, z biciem serca wyczekujący straszliwego wyroku surowych Zoilów. Krytyka postępowa musi mieć się na baczności przed wszelkiego rodzaju *protekcjonizmem i „nepotyzmem"*, niezależnie od tego, czy pochodzi on z źle rozumianych względów ideowych, czy poprostu — osobistych. Krytyk, który z takich czy innych względów „krępuje się" — niech lepiej milczy. Nie pomoże nigdy — zaszkodzi zawsze.

MIKROSKOP I WAGA DECYMALNA JAKO NARZĘDZIA KRYTYKI

Nie ma chyba szkodliwszych dla demokracji metod krytyki literackiej, jak — używanie mikroskopu i wagi decymalnej przy ocenie ideowej „zawartości" utworu. Krytyk, który te szlachetne i tak dla fizyków i farmaceutów pożyteczne przyrządy zastosuje w analizie dzieła literackiego, nie dostrzeże nigdy jego istotnych wartości, nie pozna się na jego społecznym znaczeniu, bo utonie w drobiazgach. Przypominamy sobie w związku z tym nieinteresującą i jakże jałową polemikę, którą w prasie literackiej wywołało przed kilku laty ukazanie się najlepszej dotąd powieści Kruczkowskiego „Kordian i cham". Uczestnicy tej polemiki wystąpili przeciw Kruczkowskiemu z zarzutami, które z samego utworu przeważnie wcale nie wynikały. Na domiar złego sam autor najniepotrzebniej w świecie zabrał głos w dyskusji i broniąc się przed zarzutami, których by mu nikt odpowiedzialny nie stawiał, powiedział rzeczy, które również z książki jego nie wynikały. A w powodzi naciąganych zarzutów utopiono artystyczne i ideowe wartości „Kordiana i chama", na których, jak się zdaje, poznali się przede wszystkim wiejscy czytelnicy tej pięknej powieści, bo nie czytali jej przez mikroskop, lecz nieuprzedzonymi oczami chłopów, garnących się do kultury.

Ta metoda „czepiania" się zastosowana została z niemniejszym powodzeniem wobec pierwszych literackich wystąpień grupy „Przedmieście", które wtedy oceniono nieomal jako chytry podkop reakcji pod literaturę postępową. Czy nie dlatego właśnie po latach demokracja nie zauważyła głęboko ideowej treści i chwalebnej odwagi intelektualnej w obu częściach „Poloneza" Boguszewskiej i Kornackiego? A przecież zauważono walory tej powieści aż w sferach, inspirowanych przez... Reichskulturamt! Te same przyczyny spowodowały chyba, że „Rajska Jabłoń" Gojawiczyńskiej została przez krytykę postępową tak jakby „przeoczona"; cóż dziwnego, skoro poprzedzająca ten utwór powieść „Dziewczęta z Nowolipek" potraktowana gdzieś była jako rejestr kolejnych „upadków" i skrobanek! Tylko tyle zdołano zauważyć w twórczości Gojawiczyńskiej...

Tę samą metodę zaobserwowaliśmy ostatnio w zarzutach, które J. K. Wende postawił powieści Mortona „Spowiedź" (zob. artykuł: *Problem literacki wsi* — „Epoka" z dn. 25 ub. m.). Zapewne, można by tej powieści nie jedno zarzucić, można by np. zakwestionować celowość i wartość artystyczną i społeczną banalnego, brukowego, nie wiadomo po co wprowadzonego, romansu syna chłopskiego z prostytutką. Ale Wende dosłownie „czepia się" Mortona o rzeczy, których ten wcale nie napisał i które nawet pośrednio z jego powieści nie wynikają. Gdzie i kiedy Wende przyłapał bohatera tej powieści, jak „wpatrzony w lśniący z daleka dwór—kroczył w jego kierunku, urzeczony blaskiem pańskich szyb"? Myśmy tam dworu nie zauważyli, zauważyliśmy tylko tragedię chłopskiego syna, który za ostatni grosz, wyharowany przez ojca, przepycha się przez szkołę średnią, „kroczy" jako bezrobotny akademik po warszawskim bruku i w końcu ginie, bo przed młodzieżą wiejską zamknięte zostały drzwi wejściowe do środowiska inteligencji. Demokracja piętnuje taki porządek który sprawia, że podwoje wyższych uczelni otwarte są tylko dla bogatych, demokracja walczy o udostępnienie oświaty i wyższych studiów synom i córkom ludu — a Wende gniewa się na Mortona, że jako pisarz walczy o to samo! Bohater Mortona rzeczywiście nie recytuje w swej spowiedzi radykalnego programu społeczno - politycznego, tylko opowiada o swojej *osobistej tragedii*, która jest tragedią *wsi* — ale, jak nam Wende bez ogródek oświadcza, ta tragedia nie „wzrusza" go...

Jeżeli może się zdarzyć tak opaczne rozumienie utworów i autorów mniej lub więcej bliskich, jeżeli nie umiano ocenić wielkiego dzieła Dąbrowskiej, jakże dziwić się, że naprawdę nie zauważono, nie zainteresowano się, nie zajęto poważnie wspaniałym cyklem powieściowym Zofii Kossak o krucjatach? Że nie próbowano przyswoić czytelnikowi demokratycznemu tego naprawdę pięknego produktu katolickiego humanizmu? Krytyka postępowa powinna była przecież zastanowić się chociażby nad tak dziwnym (może tylko pozornie dziwnym) zjawiskiem, że ten humanizm Zofii Kossak ociera się już niejednokrotnie o herezję, powinna była zastanowić się, czy nie pochodzi to przypadkiem z bardzo poważnej, być może niepokonalnej, sprzeczności wewnętrznej w samej koncepcji katolickiego humanizmu! W każdym zaś razie nie wolno było przejść obojętnie obok dzieła, które jest chlubą nie tylko Akcji Katolickiej, ale literatury polskiej i już dlatego musi spotkać się z jaknajżyczliw-

szym przyjęciem ze strony demokracji, nawet gdyby nie miało tych niepospolitych wartości, które czynią je szczególnie bliskim sumieniu demokratycznemu.

Ukazała się ostatnio nowa powieść Czuchnowskiego, *Pieniądz*, powieść napisana przez szczerego ludowca, który całą swą twórczość oddał na służbę sprawie chłopskiej. Czytaliśmy bardzo przychylne recenzje, napisane o tej książce przez krytyków - demokratów. Niestety nie znaleźliśmy w nich tego, co było przecież pierwszym obowiązkiem szczerej i odważnej krytyki, pojętej jako służba idei demokratycznej. Żaden z krytyków nie powiedział Czuchnowskiemu, że ta powieść sprawie ludowej pożytku nie przyniesie. Chwalili, tylko chwalili jej walory, ale nie zwrócili wcale uwagi na to, że Czuchnowski w roku pańskim 1938 wytacza niewczesny proces „partyjnikom" z ruchu ludowego i że jego chłopi, chłopi małopolscy ukazują się nam jako ciemna, zahukana i ciągiem nabijana w karafkę masa, na której żerują niesumienni partyjnicy! Czy *taka* powieść jest dziś potrzebna chłopom, ruchowi ludowemu i demokracji? Obowiązkiem krytyków było chyba rozważenie tych spraw i powiedzenie Czuchnowskiemu prawdy! Niedawno przecież w sposób rzeczowy i lojalny, ale z jakże wielkim pożytkiem dla literatury i dla demokracji, przeanalizowano obcy jej potrzebom i dążeniom panseksualizm Zegadłowicza.

Mikroskop, waga decymalna i końskie okulary — to sprzęt, którego krytyka postępowa winna się koniecznie i co rychlej wyzbyć, jeżeli ma naprawdę pomóc demokracji w jej walce o zapewnienie humanizmowi dominującego wpływu na kulturalne życie narodu. Krytyka powinna przerzucać coraz nowe mosty między demokratycznym humanizmem a tworzącą się nawet poza politycznym nurtem demokracji kulturą narodową. Tylko w interesie wstecznictwa leży kopanie przepaści kulturalnej między demokracją, a całokształtem życia narodowego. Tylko wstecznictwu może zależeć na tym, by demokracja nie dostrzegała wyrastających codziennie z gleby ojczystej świeżych i zdrowych pędów, z których mogą napewno rozwinąć się mocne, strzeliste łodygi i pnie nowej, lepszej kultury, nowego życia polskiego.

Krytyka, oddana w służbę szlachetnej, twórczej tendencji, dźwiga na sobie ogromną odpowiedzialność wobec demokracji i narodu, odpowiedzialność, której nie sposób zadość uczynić przykładaniem do dzieł sztuki najbardziej nawet precyzyjnych aparatów mierniczych i odważaniem na uncje takiej czy innej zawartości ideowej utworu literackiego. Krytyka musi nauczyć się dostrzegać, wyczuwać i przeczuwać zarodki dobra i postępu nawet tam, gdzie zawodzą wypróbowane sprawdziany — ale musi też mieć oczy otwarte na rzeczy obce i szkodliwe także tam, gdzie można by się tego najmniej spodziewać. Taka i tylko taka krytyka literacka potrzebna jest demokracji. Jest to poprostu, jak żądał już w roku 1825 Maurycy Mochnacki, „krytyka rozsądna, nie skrzętnemu wytykaniu skaz w tworach imaginacji i natchnień, lecz sprawiedliwemu wymiarowi ich wartości poświęcona".

MICHAŁ JORDAN

W teatrze

„Niewiniątka" „Szóste piętro" i „Serce"

Widzieliśmy niedawno w kinie sztukę graną obecnie w Teatrze Kameralnym pt. „Niewiniątka". Ujęcie filmowe było niewątpliwie lepsze niż teatralne, choć pominęło zupełnie ze względów pruderii motyw lesbijski zawarty w sztuce. Treść utworu jest taka: dwie młode panny zakładają w jakiejś dziurze prowincjonalnej szkołę dla dziewcząt. Wśród wychowanek znajduje się jedna przewrotna, złośliwa, podstępna i kłamliwa, która umiejętnie spreparowaną plotką, kunsztownym kłamstwem burzy życie obu nauczycielek i niszczy byt szkoły. W filmie amerykańskim mała zbrodniarka oskarża jedną z nauczycielek, że, o zgrozo, przenocowała u siebie w pokoju pewnego młodego doktora. To wystarcza aby przerażone matki odebrały swoje córki ze szkoły i aby młode nauczycielki nie mogły się pokazać na ulicy. Rzecz kończy się zdemaskowaniem małej kłamczyni i happy endem. W sztuce oskarżenie małej jest jadowitsze i obrona trudniejsza. Dziewczynka opowiada bowiem że obie nauczycielki żyją ze sobą. Jak tu się wytłómaczyć z takiego podejrzenia? Jak dowieść swojej niewinności? Ale jakośby się to w końcu może załatwiło, gdyby nie to, że jednak z nauczycielek jest istotnie zakochana w drugiej. Mały demon częściowo miał rację. Biedna pedagogiczka mimo iż nie czyniła niczego zdrożnego, w duchu czuje się winną i w końcu odbiera sobie życie. To melodramatyczne zakończenie nie jest przekonywające. Jej przyjaciółka ma narzeczonego. Wystarczyłoby jej wziąć z nim ślub, aby zamknąć złośliwe usta. Tymczasem ona z niezupełnie zrozumiałych względów go odtrąca, że niby i jego musnęło okropne podejrzenie, które im z pewnością zatruje resztę życia. A przecież istnieją niezawodne sposoby, aby po ślubie rozwiać je zupełnie. Śmierć wspólniczki tylko pogłębi cień, który padł na obie panny, zresztą wystarczyłoby im wyjechać z miasteczka i zacząć życie gdzieindziej, a rychłoby zapomniały o trującej plotce.

Zresztą mniejsza. W gruncie rzeczy nie ten motyw, dość sztucznie potraktowany, jest najciekawszą częścią sztuki, ale typ dziewczynki, która z taką maestrją, z takim aktorstwem i perfidią potrafi zburzyć życie dorosłych ludzi. Film amerykański rozwiał ten motyw i o ile zbanalizował konflikt wywołany przez dziewczynkę, o tyle dał niezapomniane wprost studium patologicznego dziecka. Dziwna rzecz, że właśnie z Ameryki, tego kraju gdzie panuje prawdziwy kult dziecka przychodzą raz po raz utwory literackie, odbronzowujące dzieci czasem dość okrutnie, jak choćby znakomity „Orkan na Jamajce" Hughes'a. Tego rodzaju rewizje charakteru dziecka są niezmiernie interesujące i pouczające, bo aż nazbyt często jesteśmy skłonni uważać małych ludzi za nieświadome, do głębi niewinne i naiwne istoty. A dziecko to już gotowy człowiek, w

którym racjonalne wychowanie może mogłoby złagodzić pewne wrodzone cechy, a rozwinąć inne, ale ileż to dzieci jest chowanych racjonalnie? Dziecko może być czasem niebezpieczniejsze od dorosłego, bo zdaje sobie sprawę ze swej bezkarności, a dar kłamstwa ma zazwyczaj rozwinięty w bardzo wysokim stopniu. Widziałam sama jak na pewnym procesie niedorosły chłopak łgał, kręcił i błaznował w żywe oczy sędziów, a wszyscy brali go poważnie i od jego niewątpliwie kłamliwych, sprzecznych zeznań, zawisł los człowieka.

Panna Polakówna, która zadebiutowała niegdyś dobrze w „Szkole żon" (ale u Jaracza wszyscy zawsze dobrze grają) obecnie nie zadała sobie najmniejszego trudu aby wejść w skórę „niewiniątka", dać postać dziecka-kłamcy, dziecka — świadomej przestępczyni, z zimną krwią gubiącej ludzi. Grała ot sobie filutkę, rezolutnego urwisa, przeciętną dziewczynkę, poprostu siebie. Dziwna rzecz jak u nas aktorzy nie czują potrzeby i konieczności zrzucenia własnej skóry. Ale robią to i lepsi i wytrawniejsi artyści od p. Polakówny, to poprostu plaga naszego aktorstwa. P. Grywińska inteligentnie zagrała rolę nauczycielki, choć tekst jaki jej autor wkłada w usta każe mocno wątpić o zdolnościach pedagogicznych tej młodej osoby.

U Jaracza „Szóste piętro" francuskiego autora Gheri. Sztuczka miła, bezpretensjonalna, napisana z wdziękiem jak to zwykle bywa u Francuzów, słucha się jej serdecznie i przyjemnie. Ale interesuje mnie w tej chwili co innego. To o czym napomknęłam powyżej: u Jaracza wszyscy zawsze dobrze grają. Jest to swego rodzaju fenomen nad którym warto się zastanowić. Coś w tym jednak musi być. Jakieś czary poprostu! Ma się w tym teatrze zawsze uczucie że dana rola została wprost stworzona dla danego aktora, że go chyba specjalnie do niej dobrano, że każdy daje tam maksimum swoich możliwości i że każdemu trafia się w tej czy innej roli jedyna wprost okazja, aby te możliwości uwydatnić. A przecież tak nie jest. „Ateneum" ma sztuki jak każdy inny teatr i jest nawet w tym niedogodnym położeniu, że cały jego zespół musi grać, czyli że właśnie ryzyko iż aktorzy dostaną role nieodpowiednie jest większe niż np. w teatrach państwowych. Więc jakim cudem się dzieje, że ci sami aktorzy, których dobrze znamy, przeobrażają się tak zupełnie, jakim sposobem debiutanci w tym magicznym teatrze grają jak wytrawni, niepospolici artyści? Cud jak mi się wydaje polega na nie zwykłym wprost talencie reżyserskim p. Perzanowskiej, która jak wróżka przemienia aktorów w te właśnie postacie jakie powinniśmy ujrzeć. Nie ma tam grania „siebie", każdy aktor musi grać rolę jaką mu przeznaczył autor. I z drugiej strony cud tej fenomenalnej gry polega zapewne na atmosferze panującej w tym teatrze, atmosferze poważnego wysiłku artystycznego. I wreszcie, może olbrzymi talent Jaracza jest zaraźliwy? Może jak jakaś wzniosła choroba udziela się innym? Dość że w tym skromnym teatrze widzimy koncerty gry aktorskiej, jakie można oglądać może tylko w teatrze rosyjskim i francuskim, a do jakich nasze stołeczne teatry bynajmniej nas nie przyzwyczaiły.

Bo weźmy naprzykład takie „Serce" Bernsteina, grane w Teatrze Nowym. Sztuka ta może nie jest gorsza od sztuki Gheri'ego, a autor zabija wszystko. Ponieważ jednak grają w tej sztuce aktorzy wybitni, wina spada zapewne na p. Wysocką, wielką aktorkę, ale lichą reżyserkę. Bo zastanówmy się: każdy niemal w tej sztuce gra co innego niż mu wypada z roli, zwłaszcza mężczyźni. Brydziński powinien grać egoistę, trochę ramola, kobieciarza, sybarytę zajętego tylko sobą — gra szlachetnego ojca, cierpiętnika, jeden ze swoich do uprzykrzenia ogranych numerków. P. Wesołowski w ogóle nie nadaje się do swej roli, jego wrodzony humor, radość życia, poprostu wyraz twarzy są tu nie na miejscu. Powinien to być człowiek twardy, trochę suchy napozór, wybuchający niespodzianie namiętnością, człowiek zmęczony i spracowany, do gruntu poważny, za poważny może. Zalety pana Śliwińskiego obróciły się tu przy mylnym ujęciu roli przeciw niemu. Gra on subtelnego, czułego kochanka, każde jego „kocham" jest nabrzmiałe głębią uczucia, spodziewamy się po nim Bóg wie czego, a tymczasem to powinien być cham, prostak uczuciowy, piękniś plażowy, płaska figura o dobrych warunkach, żebyśmy się od początku dziwili co się stało młodej, poważnej mężatce że na niego tak odrazu poleciała. Pani Smosarska jest za dobrą aktorką żeby zepsuć rolę, ale mylnie prowadzona, też za poważnie wygrała swoje urzeczenie plażowym adonisem. Panna Kościeszanka grała trafnie, choć może trochę za twardo.

W tych warunkach, kiedy tylko intuicja mówi widzowi co właściwie powinno się dziać na scenie, podczas gdy gra aktorów bezustannie kłóci się z tekstem, zdawanie sprawy ze sztuki jest bardzo utrudnione. W danym wypadku nie stało się wielkie nieszczęście, bo bez oglądania tej sztuki w ogóle łatwobyśmy się obeszli. Ale tego rodzaju nieporozumienia reżyserskie i aktorskie przytrafiają się naszym teatrom zbyt często i nierzadko ofiarą ich padają utwory wartościowe. *IRENA KRZYWICKA*

W obronie cywilizacji

„Chcemy, aby nasz kraj był mocny. Chcemy, aby w porozumieniu z innymi demokracjami parlamentarnymi po obu stronach Atlantyku, odegrał swą rolę w zjednoczonym wysiłku obrony cywilizacji, póki jeszcze na to czas, przed niszczącą grozą nowej wojny światowej".

„Czy nie czujemy się pewniejsi odkąd narody francuski i angielski liczące razem 85 milionów głów, zjednoczyły się, aby bronić się wspólnie przed napaścią? Czyż nie jest to pierwszy krok na drodze do zbiorowego bezpieczeństwa? Dlaczego nie mamy zaprosić do wspólnej pracy inne państwa i dlaczego nie mamy połączyć tej pracy z systemem sankcyjnym Ligi Narodów? Trzeba porozumienie angielsko - francuskie rozszerzyć na kraje skandynawskie, na Małą Ententę, na Ententę Bałkańską, na Węgry, na Z. S. R. R. Jeśli potrafimy sobie zapewnić w Europie pomoc dziesięciu państw dobrze uzbrojonych, dziesięciu państw zdecydowanych oprzeć się agresji i wspólnie zaatakować napastnika, który napadnie na jedno choćby z nich, to będziemy dość silni, by usunąć bezpośrednie niebezpieczeństwo i zyskamy na czasie tyle, ile trzeba, aby położyć wytrzymalsze fundamenty pod utrwalenie pokoju".

WINSTON CHURCHILL,
mowa na zebraniu Towarzystwa Przyjaciół Ligi Narodów w Manchester.

Cicha zgoda na bezprawny podbój

W umiarkowanym czasopiśmie angielskim „New Statesman and Nation" ukazał się bardzo rzeczowy i wnikliwy artykuł, omawiający politykę gabinetu brytyjskiego wobec Hiszpanii. Pragnąc Czytelnikom udostępnić tę próbę głębokiej krytyki, rzucającej snop światła na zagadnienie, obchodzące dziś cały świat, drukujemy ją w wiernym przekładzie.

Epoka

Cicha i zdradziecka zgodą.

Republika hiszpańska wystosowała wezwanie do rządów francuskiego i angielskiego, uprzejme i wzruszające, spowodowane „głęboką i nieznośną niesprawiedliwością", z jaką się ona spotyka. Jeden z tych rządów jest beznadziejnie słaby; drugi prowadzi politykę, która czyni go głuchym na wszelkie wezwania demokracji, jakkolwiek zawsze jest gotów słuchać jej wrogów.

Byłoby zbyt łatwe wyciągać logiczne wnioski z sytuacji militarnej, która wydaje się beznadziejną. Ale Hiszpanie w takim wypadku nie stosują logiki. Konsolidują się powoli, ale nigdy nie walczą lepiej, niż wtedy, gdy są przyparci do muru. Ostatnie naloty powietrzne zmusiły ich do stosowania taktyki odwrotu, która, zdawała się, musi skończyć się w morzu. Ale okazuje się, że ich duch wojenny jest niepokonany. W Barcelonie nie ma śladu niezgody, a rząd został zrekonstruowany przez objęcie teki obrony narodowej przez dr. Negrina, zamiast Senora Prieto. Na 6.000 osób, które przekroczyły granicę francuksą pod Luchon, mniej niż 200 zdecydowało się wrócić do domu na terytorium zajętym przez Franco; reszta, która mogła mieć niewiele złudzeń co do wyniku wojny, głosowała indywidualnie wobec urzędników francuskich, decydując się wrócić do walk w Katalonii.

Ducha wojennego w narodzie jest dość na dwie kontrofensywy, a Barcelona stara się dorównać w oporze Madrytowi. Gdyby w Paryżu, lub Londynie istniał jeszcze zmysł sprawiedliwości, albo też bardziej dalekowzroczne zrozumienie własnego bezpieczeństwa, można byłoby uratować republikę hiszpańską przez zniesienie wreszcie tej krzyczącej niesprawiedliwości, jaką jest odmowa dostarczania jej broni.

Zaczyna się nowa faza polityki konserwatystów na rzecz jednostronnej interwencji. Nie sądzę, że wiadomości co do układu anglo-włoskiego, które przeniknęły do prasy, były prawdziwe i ścisłe. Chamberlain odrzucił wszystkie pozory, żeby udawać, iż spodziewa się (jeżeli w ogóle tak było), że obce wojska i lotnictwo będą wycofane z Hiszpanii, zanim obaj dyktatorzy wygrają kampanię na półwyspie. W rzeczywistości przyrzekł on im swą cichą zgodę na dokończenie dzieła. W oczekiwaniu tego dnia, przygotowano układ, cokolwiek byłby wart, wejdzie w życie, gdy wojska włoskie będą wycofane. Czyż ma to znaczyć, że Downing Street uzna jeden bezprawny podbój, jeżeli Mussolini zrezygnuje z drugiego? Taka interwencja wydaje się zbyt prosta.

Na modłę turecką.

Nigdy nie przypuszczaliśmy, że wojska włoskie pozostaną na s'ałe w Hiszpanii, jako masowa formacja wojskowa. Jest rzeczą prawdopodobniejszą, że pozostaną wojskowi i cywilni „doradcy", „instruktorzy", „technicy" i organizatorzy w różnych dziedzinach, zarówno Włosi, jak i Niemcy, więcej drugich, niż pierwszych. Każdy cywil, poddany państw dyktatorskich, zamieszkały na obczyźnie, jest agentem swego rządu, podobnie jak konsulowie, lub żołnierze. Naturalnie, Włosi nie zaanektują, a może nawet nie będą okupować Majorki, ale byłoby zdumiewające, gdyby nie zachowali tam, podobnie jak na półwyspie, swoich lotnisk, portów i stacji materiałów napędnych, maskując to wszystko względami na potrzeby cywilne. Niemieccy inżynierowie fortyfikują już granicę pirenejską, również budują bazę lotniczą w Pasajes na wybrzeżu baskijskim. Położenie Hiszpanii będzie podobne do sytuacji Turcji w przededniu wielkiej wojny. Niemcy nie miały tam garnizonów; Turcja otrzymała od swego tajnego sprzymierzeńca materiał wojenny i wiedzę militarną, zato całe życie gospodarcze było w rękach niemieckich kupców i koncesjonariuszów. W Hiszpanii bogactwa mineralne będą zastawem na pokrycie należności za materiał wojenny, otrzymany przez powstańców, a życie polityczne będzie modelowane przez instruktorów zagranicznych na wzór faszystowski lub nazistowski. Nie należy zapominać, tajne dokumenty zresztą świadczą o tym, że Mussolini zaczął subsydiować i zbroić skrajną prawicę w Hiszpanii jeszcze w 1934 r., a Niemcy miały wpływ w prasie hiszpańskiej na długo przed rebelią gen. Franco. Chamberlain jest widocznie bardziej łatwowierny, niż mogliśmy przypuszczać, jeżeli rzeczywiście wierzy, że zacofany kraj staje się wasalem, albo kolonią tylko wtedy, gdy następuje okupacja lub aneksja. Mussolini chce mieć wpływy w Hiszpanii podobne do tych, jakie miał w Austrii za Dollfussa i Schuschnigga. Wpływ ten wywierał za pomocą kościoła i subsydiowanych formacji partyjnych, a „niepodległości" jej bronił Abisynii Chamberlain nie odciągnie Mussoliniego od Hiszpanii, to jednak, zdaje się, próbuje on odciągnąć go od osi, dając mu cichą zgodę na podbój Hiszpanii.

Flirty z aligatorami.

Być może, że przez krótki okres czasu, Rzym będzie brał co się da, grając podwójnę grę z Londynem i Berlinem. Jest prawie oczywiste, że Hitler nie mógł zapewnić sobie uprzedniej zgody Mussoliniego na Anschluss, a jest rzeczą uderzającą, iż pierwsza zmotoryzowana dywizja, która wkroczyła do Austrii była skierowana nie na Wiedeń, lecz Brenner. Przy tej okazji nie mocarstwa zachodnie, lecz raczej Mussolini był stroną pokonaną. Duce przyjął ten cios ze sztywnym uśmiechem, ale jest on zbyt mądry, żeby zdradzić swoje uczucia. Możnaby więc teraz łatwo zagrać na tym ukrytym resentymencie. Nie ma wątpliwości, że Imperium włoskie ma trudności w Abisynii. Megalomania ostatnich lat wyczerpała rezerwy materialne dość biednego kraju, a stopa życiowa spadła do niebywale niskiego poziomu. Jeżeli ten powtórny układ z Anglią otworzy Mussoliniemu drogę do banków w City, opłaci mu się przez krótki czas zachowywać się z przykładową rezerwą w Libii, Palestynie i Arabii. Ale na dłuższą metę, ambicje Imperium włoskiego mogą być realizowane tylko przy pomocy Berlina i tylko przeciwko Paryżowi i Londynowi. Chamberlain może przeszachrować wolność Hiszpanów i Abisyńczyków za taką czasową przyjaźń, ale nie jest w stanie pozwolić imperializmowi włoskie-

mu pochłonąć to, na co on ma apetyt. Czy może konserwatywny premier pozwolić, ażeby Morze Śródziemne stało się włoskim mare nostrum, albo oddać na pastwę Tunis, Syrię i Egipt? Jeżeli Rzym dostałby to w nagrodę, to tylko w wyniku zwycięskiej wojny osi przeciwko zachodnim mocarstwom. Jest rzeczą wątpliwą, czy ten flirt z Rzymem mógłby złamać oś, i chociażby na krótki czas zakłócić jej proste ruchy. Jeżeli porozumienie się uda, będzie to miało wartość przejściowego sukcesu w przedwojennej grze równowagi sił, ale nie zwycięstwa prawa i praworządności, ani też nie może wyniknąć dla idei współżycia narodów z wciągnięcia do wspólnej pracy mocarstwa, które dopiero co wróciło z grabieży w Abisynii i z unicestwienia demokracji w Hiszpanii. Conajwyżej mocarstwa zachodnie będą się czuły trochę bardziej bezpieczne w sprawowaniu swej kontroli nad Afryką północną i nad najbliższym Wschodem. Ponadto swoimi usiłowaniami obrony zboża węgierskiego i nafty rumuńskiej przed zaborczością Niemiec, mocarstwa zachodnie mogą okupić jeżeli nie poparcie, to przynajmniej neutralność Włoch.

Sposoby złamania osi.

Z obu mocarstw faszystowskich w przyszłości prawdopodobnie jedno stanie się potężniejsze, niż jest dzisiaj, a drugie raczej słabsze. Zdaje się być założeniem w rozumowaniu Foreign Office, że faszyzm jest już reżimem ustalonym. My natomiast przypuszczamy, że Duce jest w poważnym niebezpieczeństwie, gdyż przerachował się w Abisynii i w Hiszpanii. Najprostszym rozwiązaniem byłoby nie pchając go rozmyślnie w przepaść, z braku poparcia pozwolić mu przynajmniej spaść. Byłoby to najpewniejszym sposobem złamania osi i oderwania od Niemiec jego ośmiu milionów bagnetów i jego samolotów, które „zaciemniają słońce". Jeżeliby faszyzm chwiejąc się padł, prawdopodobnie zostałby zastąpiony jakąś formą rządów ludowych, które zerwałyby z Niemcami i pogodziłyby się z demokracjami zachodu. Ale klasowa solidarność, obawa przed „czerwonymi" i tradycyjnie nieprzystosowana (nieprzystosowana do dyktatur) dyplomacja zabrania kierownikom polityki popierać lub nawet wyczekiwać tego szczęśliwego rozwiązania.

Nawet jeszcze teraz nie jest zapóźno na zadanie włoskiemu faszyzmowi i w ogóle faszyzmowi śmiertelnego ciosu w Hiszpanii. Republika hiszpańska rozporządza materiałem ludzkim, dostatecznym do odebrania całego terytorium, gdyby mogła liczyć na pomoc Francji i Anglii choćby w stopniu równym pomocy, udzielanej Franco przez Włochy i Niemcy. Jest publiczną tajemnicą, że francuski sztab generalny chętnie by dał tę pomoc i poważnie rozważał możliwość posłania do Katalonii nie tylko broni, ale i ludzi. Liczy on na to, że Niemcy nie mogą ryzykować wojny bez wyćwiczonych rezerw w ludziach, bez magazynów broni i żywności. Jeżeli zachodnie mocarstwa chcą stawić opór, Hiszpania u granic Francji i z dostępem do morza nadaje się daleko bardziej do obrony, niż Czechosłowacja. Praga w istocie może być skuteczniej obroniona w Barcelonie, niż na stokach Sudetów. Gwarancja Anglii, że stoi przy boku Francji w jej obronie przed okrążeniem, jest całkowicie wystarczającym współdziałaniem obu krajów. Opór stawiany dzisiaj i w tych okolicznościach, może zapewnić zachodnim mocarstwom ich strategiczne korzyści i może je uchronić na przyszłość od późniejszych kryzysów. Ponadto da to dowód solidarności, który na przyszłość odwiedzie dyktatorów od chęci napaści. Wreszcie porażka Mussoliniego w Hiszpanii będzie stanowić początek końca faszyzmu we Włoszech.

Ale nakreślenie takiego planu jest jednocześnie pogrzebaniem go. Chamberlain nie poprze Francji w takiej akcji, nawet dla jej własnego bezpieczeństwa. Przeciwnie, dał on Mussoliniemu cichą zgodę na dokończenie swego dzieła. Opozycja marnuje swą energię swoimi namowami i perswazjami. Tak długo, jak Eden stał na czele Foreign Office, można było jeszcze mieć złudzenia co do zmiany polityki w Hiszpanii i gdzieindziej; teraz nie można dłużej wątpić, że Mussolini miał rację, przechwalając się, że „Chamberlain pozwoli mu wygrać wojnę w Hiszpanii, a potem zapłaci mu za wycofanie wojska".

Kubisz zdradzony*)

Pisząc w swoim czasie o znakomitych „Wspomnieniach Inspektorów Pracy" Krahelskiej, Kirstowej i Wolskiego, użyłem jako tytułu słów Stefana Żeromskiego: „Trzeba rozrywać rany, aby nie zabliźniły się błoną podłości". Halina Krahelska niewątpliwie należy do tej, nielicznej niestety, grupy pisarzy polskich, których programem twórczości jest właśnie owo „rozrywanie ran", podsuwanie czytelnikowi tych zagadnień społecznych, które są skrzętnie i świadomie ukrywane przez reakcyjną prasę i literaturę.

Jako wnikliwa badaczka zagadnień, dotyczących nieludzkiej eksploatacji rzesz pracujących, jako utalentowana publicystka, jako człowiek psychicznie i czynnie zaangażowany po stronie świata pracy, dała się Halina Krahelska niejednokrotnie poznać w szeregu swoich wystąpień na łamach prasy, w dużej ilości wydawnictw książkowych i broszur o charakterze naukowym. Debiutem powieściowym Krahelskiej była wydana w ubiegłym roku książka pod tytułem: „Polski Strajk", odsłaniająca w formie beletrystycznej kulisy słynnych „zajść" krakowskich.

Obecnie ukazała się w druku nowa książka Haliny Krahelskiej: „Zdrada Kubisza". Powstała ta powieść na tle jednego z procesów politycznych, które od pewnego czasu dość często zdarzają się na Górnym Śląsku. Była to sprawa przeciwko kilkudziesięciu młodym robotnikom polskim, którym akt oskarżenia zarzuca prowadzenie agitacji hitlerowskiej i uprawianie działalności dywersyjnej na rzecz państwa ościennego. Wśród oskarżonych znajdowali się również synowie uczestników powstań śląskich.

W „Zdradzie Heńka Kubisza" systematycznie i celowo ukazuje autorka ów łańcuch nieszczęść i klęsk, który zaprowadził na ławę oskarżonych młodego robotnika, wychowanego w tradycjach walk wyzwoleńczych, człowieka, który z domu rodzinnego wyniósł wspomnienia żarliwej ideowości i poświęcenia, wspomnienia bohaterskich walk z zaborcą.

Krahelska ukazuje swego bohatera w świetle je-

---

*) *Halina Krahelska:* Zdrada Heńka Kubisza. Wydawnictwo „Nowej Biblioteki Społecznej", Warszawa 1938.

go krótkiej wędrówki życiowej. Przeprowadza go przez szkołę niemiecką w czasie wojny światowej i przez terminatorstwa w warsztacie już po wyzwoleniu Śląska. Każe mu we wczesnym dzieciństwie przejść przez ogień walk o niepodległość, aby w całe lata później, pokazać go w otoczeniu strajkujących robotników polskich zakładów przemysłowych.

Pełnymi gorzkiego zrozumienia oczami ogląda Heniek Kubisz straszliwą nędzę swych najbliższych w okresie kryzysu i powszechnego bezrobocia, a jednocześnie widzi (jako lokaj u pp. Urbanków) „wielki świat panów".

Bajeczne fortuny jednostek i przeraźliwa nędza mas. Prostytucja, która niszczy cały legion dziewcząt z rodzin bezrobotnych. Ustawa o celibacie dla nauczycielek. Bezradność ludzi uczciwych i nieograniczona wprost władza w rękach krętaczy i kombinatorów. Oto Śląsk oglądany oczami Heńka Kubisza i Haliny Krahelskiej.

Pod ciężarem tej rzeczywistości pada Heniek Kubisz. Pozostaje mu jeszcze tyle siły, aby, nie czekając na wyrok sądu, wymierzyć sobie własnymi rękami sprawiedliwość.

Książka ta jest jednym aktem oskarżenia. Ukazała się w chwili, kiedy imperializm hitlerowski zagarnąwszy Austrię, sięga po Sudety. Krahelska otwiera oczy na metody penetracji hitlerowskiej i przestrzega aby nie łudzić się, że faszyzm niemiecki poprzestanie na dotychczasowych swych zdobyczach. Nie przebierająca w środkach agitacja na Górnym Śląsku zmierza do tych samych celów, do których zmierza agitacja na terenie Austrii, do tych samych celów, które zamierza obecnie osiągnąć w Czechosłowacji.

„Zdrada Heńka Kuibsza", to przede wszystkim cenny dokument społeczny i dlatego trudno jest spojrzeć na tę książkę okiem bezstronnego krytyka literackiego. Pewne jednak rzeczy trzeba powiedzieć

W porównaniu z „Polskim Strajkiem" jest obecna powieść Krahelskiej ogromnym krokiem naprzód pod względem literackim. Parę pięknie zarysowanych postaci (stryj Ernest, matka Heńka, Teresa, dyrektorowa Urbankowa, majster Kramarczyk z żoną), wiele fragmentów tchnących prawdziwym, niekłamanym uczuciem... Ale autorka wciąż jeszcze traktuje sprawy konstrukcyjne z dużą bezceremonialnością. Naprzykład: cała część, dotycząca doli nauczycielek na Górnym Śląsku stanowi właściwie dość luźnie powiązaną z powieścią nowelę i rozsadza konstrukcję całości. Są to jednak drobiazgi, które nikną wobec wielkiej wartości całej książki.

BOLESŁAW PIACH

Na widowni polskiej i światowej

Z SIEDZIBY DEMOKRATÓW

Kolejny wieczór dyskusyjny w warszawskim Klubie Demokratycznym poświęcony był zagadnieniom hiszpańskim. Red. Jerzy Boreisza w swoim przemówieniu oświetlał stan sił społecznych i dążenia reformatorskie republiki Hiszpanii. Obóz zaś gen. Franco ma na celu odbudowę ustroju społecznego z czasów Alfonsa XIII J. Boreisza rzeczowo dowodził, że przewaga sił społecznych po stronie republiki pozwoli jej przetrwać, nieprzychylne położenie międzynarodowe. Dr Edward Boyé poświęcił swoje treściwe przemówienie zagadnieniom kultury Hiszpanii podnosił znaczenie pracy republiki nad wydźwignięciem rzesz ludowych z nędzy i ciemnoty. Płk. January Grzędziński w mowie swojej, wypowiedzianej ze swadą, prostował i piętnował kłamstwa, rozpowszechniane w świecie o republice, zagadnienie zaś interwencji i nieinterwencji przedstawił w świetle historycznym. Zdaniem prelegenta kryzys Hiszpanii—to kryzys sumienia świata. Hiszpania zwycięży, — gdy sumienie Europy zwycięży nad Tamizą, Sekwaną i Wisłą.

LIGA PRZECIW WOLNOŚCI NARODÓW.

Rada Ligi Narodów oficjalnie sprzeniewierzyła się podstawowym zasadom, na których oparł się od samego początku byt instytucji genewskiej. Odwróciła się od ideałów, które przyświecały inicjatorom paktu Ligi — mniejsza o to, jak ocenimy szczerość ówczesnego pacyfizmu wersalskiego. Faktem jest, że uczciwa, demokratyczna opinia ludów ideały te brała i bierze na serio, że była i jest do nich szczerze przywiązana, że — mimo wszystko —pokładała w Lidze Narodów duże nadzieje. Ale Rada Ligi całym swym autorytetem sankcjonowała podbój Abisynii i najazd na Hiszpanię, a więc — państwa, które do Ligi należą i oczekiwały od niej pomocy, Rzucając swój autorytet na szalę przemocy i bezprawia — Liga ubliżyła temu autorytetowi w oczach całego świata. Wymierzyła sama sobie policzek — ku wielkiej uciesze wrogów pokoju.

Moralny aspekt tego ponurego zjawiska, jakim było posiedzenie Rady Ligi, niech zilustruje np. takie powiedzenie paryskiego brukowca **Matoin:** „Sprawa etiopska mogła być załatwiona w drodze proceduralnej, jednak **ludzie dobrej woli** padli ofiarą intrygantów". Oczywiście w rozumieniu paryskiego Ikaca „ludzie dobrej woli" — to dyplomaci, którzy po cichu, gładko i na zimno chcieli pogrzebać niepodległość Abisynii, bo już przedtem, poza Ligą i wbrew jej zasadom tak sobie ukartowali na spółkę z zaborcą. Ale prawdziwa Francja, naród francuski nie ma z tym wszystkim nic wspólnego.

STRZEŻ NAS OD PRZYJACIÓŁ, BO...

Odpowiadając delegatowi Hiszpanii, del Vayo, który zażądał od Rady Ligi zniesienia oszukańczej nieinterwencji, lord Halifax nie zawahał się oświadczyć wobec całego świata, że „rząd brytyjski kieruje się wyłącznie względami na wyższe i obiektywne interesy narodu hiszpańskiego oraz pokoju Europy".

Może rząd Chamberlaina rzeczywiście wierzy w to, że jego polityka cofania się przed blokiem wojennym zapewnią Europie pokój. Ale jak nazwać ludzi, którzy aprobują i legalizują najazd na Hiszpanię, motywując swój postępek troską o interesy narodu hiszpańskiego?

WARCZĄ BĘBNY...

„Ostrzegam kraje dyktatorskie, Niemcy, Włochy i Japonię, by nie przeciągały struny w stosunku do państw demokratycznych, bo to może doprowadzić do wojny. Zajęcie Mandżukuo przez Japonię w r. 1931 zapoczątkowało serię wypadków, do których należy zaliczyć dozbrojenie niemieckie, remilitaryzację Nadrenii, wojnę abisyńską, wojnę hiszpańską i atak Japonii na Chiny.

Trzeba raz położyć kres tym ciągłym atakom, nim stracimy kontrolę nad położeniem. Sytuacja jest taka, że i Stany Zjednoczone muszą myśleć o obronie. Nie możemy izolować się od świata. Jeśli wojna toczy się gdziekolwiek, to i my nie jesteśmy pewni pokoju.

Kraje dyktatorskie skarżą się na wiele bolączek, ale nie mówią o tym, że bolączki te same wywołały, zużywając swe dewizy i zapasy surowców na cele zbrojeniowe.

Kraje dyktatorskie mylą się, sądząc, że demokracje są słabe, bo ustępują przed ich naciskiem. Kiedy dyktatorzy będą nadal zachowywać się agresywnie, kiedy nacisk ich będzie nadal rósł, to kraje demokratyczne stracą cierpliwość, zaleje je fala oburzenia, a wtedy trudno będzie utrzymać pokój, który dzisiaj dyktatorzy wciąż naruszają i zakłócają. Wtedy okaże się, że kraje demokratyczne są o wiele silniejsze, niż faszystowscy napastnicy."

Min. Wojny Stanów Zjedn.,
Harry Woodring.

SOJUSZNICY O SOBIE

„Wśród mocarstw europejskich Włochy najbardziej cierpią na brak surowców. Z 30 mil. ton importu włoskiego 17 mil. pochodzi z Anglii i Ameryki, przechodzi przez Gibraltar, 1,8 mil. ton przychodzi z Azji, Afryki i Australii przez Kanał Suezki, 1,2 mil. ton z Morza Czarnego przez Dardanele. Tylko 3 mil. ton pochodzi z Morza Śródziemnego a 7 mil. ton przechodzi przez granicę północną."

Prof. Akad. Wojsk. w Berlinie, płk. Ksylander „Die kriegswirtschaftliche Verfassung Italiens".

„Włochy mogą w razie wojny pokryć własną produkcję: 0,7% zapotrzebowania olejów mineralnych, 3,2% zapotrzebowania węgla, 37,1% zapotrzebowania żelaza i stali, 1,6% zapotrzebowania miedzi, 0,0% zapotrzebowania cyny, kauczuku i chromu.

Oparcie się na rezerwach surowcowych jest utrudnione chwilowo przez następstwa wojny abisyńskiej. Przetrwanie tej wojny było tylko możliwe za cenę wyczerpania zapasów surowców i zaniechania uzupełnienia instalacji przemysłowych. Te straty substancji gospodarczej muszą być nadrobione, jeżeli Włochy mają uniknąć poważnych trudności. Jest rzeczą wątpliwą, czy włoski aparat produkcyjny będzie w stanie zrobić to własnymi siłami."

„Wochenberichte des Instituts für Konjunkturforschung in Berlin".

ZEMSTA PODEPTANYCH ZASAD

Dla opinii europejskiej nie ulega już wątpliwości, że ostatnia sesja Rady Ligi była wielką kompromitacją obu mocarstw zachodnio-europejskich. Któż nie rozumie dziś, że Mussolini dosłownie *wyłudził* od dyplomacji anglo-francuskiej uznanie zaboru Abisynii i legalizację włosko - niemieckiego najazdu na Hiszpanię? Że całkowitą utopią okazał się „realistyczny" plan angielskich konserwatystów, którzy chcieli przechytrzyć obu dyktatorów, licząc na to, iż koncesjami na rzecz faszyzmu włoskiego, rzuceniem mu na łup Abisynii i Hiszpanii — przeciągną Mussoliniego na swoją stronę, że rozerwą wojenną oś! Bardzo słusznie ocenia ten kupiecki „realizm" Chamberlaina i City „Nowa Rzeczpospolita", gdy pisze:

„Ten realistyczny pogląd angielski starała się zwalczać delegacja abisyńska, odwołując się do przesłanek idealnych — do poczucia prawa i etyki. Napróżno jednak próbowała poruszyć sumienie ludów (?) europejskich, które pozostały głuche i nieczułe. Napróżno w swym „zacofaniu i barbarzyństwie" pouczała „przodujące w kulturze" narody, iż deptanie zasad zawsze się mści. Daremnie wykazywała, że „nie można ratować pokoju, ani budować bezpieczeństwa na trwałych podstawach legalizowaniem gwałtów i napaści oraz dobijaniem ofiar nieszczęścia".

Oczywiście nic tu nie zawiniły ludy europejskie, które się z „realizmem" Downing Street i Quai d'Orsay bynajmniej nie godzą. Ale bardzo słusznie organ morżowy podkreśla tezę abisyńską, że pokoju nie zabezpiecza się legalizowaniem zbrodni. Takie fakty, jak uznanie podboju Abisynii przez Anglię i Francję, jak legalizacja przez te państwa najazdu na Hiszpanię, jak uznanie de jure przez Watykan buntowniczego i stojącego na żołdzie zagranicy „rządu" gen. Franco — to ciężkie ciosy, zadane międzynarodowemu porządkowi prawnemu i sprawie pokoju światowego.

Bo cóż się w końcu okazało? Że wbrew krótkowzrocznemu optymizmowi urzędowych komentatorów rzymska wizyta Hitlera, która nastąpiła niemal jednocześnie z wielkim genewskim triumfem Włoch (triumf *nieobecnego* jest triumfem podwójnym), przyniosła dla osi faszystowskiej wyniki jak najpomyślniejsze. Nie tylko „desinteressement"włoskie w sprawie Sudetów oznacza poparcie zaborczych planów Trzeciej Rzeszy, ale — jak zwrócono uwagę w prasie codziennej — należy się spodziewać, że jednocześnie z atakiem niemieckim na Czechosłowację nastąpi próba „oswobodzenia" Słowaczyzny i Rusi Zakarpackiej przez Węgry. W ten sposób — ku wielkiej radości p. Studnickiego — Wielkie Węgry, uzależnione od Mussoliniego, stałyby się mocną bazą faszyzmu włoskiego nad Dunajem.

A cóż Mussolini daje za to mocarstwom zachodnim? Powiedział wyraźnie w Genui: Stresy już nigdy więcej nie będzie. Nigdy faszyzm włoski nie sprzymierzy się przeciw niemieckiemu z swą „łacińską siostrzycą", która przecież marzy o nowej Stresie, bynajmniej nie w celu okrążenia Niemiec, ale naprawdę wyłącznie w celach obronnych przed zaborczym pangermanizmem! To jedno. A oprócz tego oświadczył *Duce*, że nie ma zgody między nim a Francją, bo Francja życzy zwycięstwa rządowi hiszpańskiemu, a Włochy chcą i pragną zwycięstwa generała Franco. I wódz czarnych koszul przerwał rozmowy z Francją pod absurdalnym pretekstem, że Paryż popiera republikę hiszpańską! Kiedy przecież wbrew opinii demokratycznej w kraju i za granicą rząd francuski sam zainicjował nieszczęsną politykę nieinterwencji, był jedynym rządem, który ją z uporem maniaka przeprowadzał — i wreszcie w Genewie ustami min. Bonnet poparł Chamberlaina i sprzeciwił się wnioskowi Hiszpanii, która żądała, by Liga położyła kres nieinterwencyjnemu oszustwu!

Więc Francja i dotąd szła całkowicie po linii tych postulatów, które dziś stawia jej Mussolini jako warunek dalszych rokowań! Ale dyktator włoski chce czegoś więcej. Świadom tego, że krótkowzroczna polityka mocarstw zachodnich ułatwia blokowi wojennemu jeden su-

kces za drugim, chce wymusić na Francji jeszcze większe koncesje, nie tylko dla siebie, ale i dla swego sprzymierzeńca, któremu napewno pozostanie wierny mimo całej „przebiegłości" Londynu i Paryża. Nauczony doświadczeniem sądzi, że może sobie pozwolić na przemawianie wobec Francji tonem bardzo ostrym, karcącym, dyktującym to, co jest na rękę obu dyktatorom. I dopóki nieubłagana rzeczywistość nie zmusi mocarstw zachodnich do zmiany polityki, faszyzm będzie nadal przemawiał tym tonem — i będzie wygrywał.

DWA OBLICZA MORALNE

Rząd de Valery postanowił w imieniu Irlandii uznać podbój Abisynii przez Włochy. W naszych czasach, kiedy tradycje wolności i braterstwa ludów coraz bardziej zaliczane zostają przez proroków wstecznictwa do śmiesznych i zużytych rupieci dawno minionej przeszłości — mało nawet poświęcono uwagi temu zaiste niezwykłemu zjawisku. Irlandia, która setki lat przebywała w jarzmie najeźdźcy, kraj, którego najlepsi synowie ginęli w nierównej, podziwianej przez świat cały, walce o wyzwolenie ojczyzny — aprobuje teraz gwałt, dokonany przez potężnego zaborcę na bezbronnym narodzie afrykańskim! Co powiedzieli by o tym postępku de Valery bohaterscy Fenianie, ofiarni bojownicy o wolność Irlandii, którzy położyli życie w walce przeciw temu samemu, co dziś pochwala rząd ich niepodległej już ojczyzny? Jak spojrzeliby na de Valery jego właśni towarzysze broni, którzy w ciągu ostatnich lat dwudziestu zginęli w walce o wolność Zielonej Wyspy?

Rząd irlandzki jawnie sprzeniewierzył się najszlachetniejszym tradycjom tego męczeńskiego narodu, którego dzieje znaczone są gwałtami i okrucieństwami srogiego zaborcy! My sami, ludzie dwudziestego wieku, pamiętamy przecież te czasy, kiedy Irlandia była przedmiotem sympatii ze strony wszystkich, którym drogie były idee wolności i humanitaryzmu. Uznając zabór Abisynii, de Valera ubliżył narodowej godności Irlandii, w imię nędznych kombinacyjek politycznych podeptał te ideały, dla których pokolenia bojowników kośćmi swymi użyźniały ziemię irlandzką. Postępek jego nie obciąża w naszych oczach narodu irlandzkiego, który zawsze pozostanie symbolem męczeństwa i nieugiętej walki o wolność — niezależnie od takiej czy innej polityki rządów Wolnego Państwa.

Na drugiej półkuli, w starożytnym kraju Azteków żyje również naród, który swego czasu stoczył bohaterską walkę o niepodległość swej ojczyzny, walkę zakończoną wypędzeniem zamorskich najeźdźców. Ale naród meksykański jest o tyle szczęśliwszy od irlandzkiego, że jego rząd nie sprzeniewierza się wolnościowej tradycji tego kraju. Meksykańscy bohaterowie narodowi, Miguel Hidalgo i Benito Juarez, nie musili by się wstydzić, gdyby mogli spojrzeć dziś na postępowanie rządu meksykańskiego. Z dumą i radością stwierdzili by, że Meksyk wspiera bratnią Hiszpanię w jej nierównej walce z włosko-niemieckim najazdem, że w Lidze Narodów przedstawiciel rządu meksykańskiego w stanowczych słowach zastrzegł się w swoim czasie przeciw wysuwaniu samej możliwości uznania podboju włoskiego w Abisynii. Rząd meksykański idzie drogą, którą wskazuje mu piękna tradycja walk o zrzucenie jarzma królów hiszpańskich. Irlandia i Meksyk i wierność tradycji narodowej i jej znieważenie i o wypędzenie interwencyjnych wojsk o zrzucenie jarzma królów hiszpańskich Napoleona III.

NR 21 „CZARNO NA BIAŁEM"

Nowy numer tygodnika demokratycznego „Czarno na białem" przynosi artykuł znanego publicysty J. Turonia p.t. „Należy podnieść zasłonę", w którym autor atakuje milczenie M.S.Z. i domaga się ujawnienia stosunku Polski do Czechosłowacji. Maria Dąbrowska w art. p.t. „Cztery dni na Lubelszczyźnie" daje garść wrażeń i wnikliwych spostrzeżeń ze wsi polskiej. Palące sprawy wiejskie porusza J. Brandowski w art. „Przeludnienie wsi". T. F. omawia sprawę organizacji świata pracy do walki o przebudowę społeczną w związku z gospodarczą przemianą dzisiejszego kapitalizmu.

Oczy i Uszy Świata odźwierciadlają sytuację w Europie w związku z pertraktacjami z państwami totalnemi.

Prócz tego numer zawiera felieton J. K. Wendego, satyryczną sylwetę Daladiera i szereg artykułów informacyjnych.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Książęca 4, tel. 706-11.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Georg Appelfeld: Etap. Sztuka w 3 aktach. Lwów. „Mól Książkowy".

Giacomo Leopardi: Poezje. Przełożyła, wstępem i objaśnieniami opatrzyła *Julia Dicksten - Wieleżyńska* Warszawa 1938. Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska".

Mikołaj Dąbrowski - Ramsay: W obronie człowieka i demokracji pracy. Warszawa 1938. Księgarnia F. Hoesicka.

Józef Aulneau: Hrabina du Barry i koniec dawnego ustroju. Autoryzowany przekład *Marty Grabiańskiej.* Warszawa 1938. Instytut Wydawniczy „Plan".

REDAKCJA i ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630
REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się
PRENUMERATA kwartalnie — zł 4.—. Numer pojedyńczy 50 gr.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm) zł 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm) gr 40.
REDAKTOR i WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 4902 Odbito w Zakł. W. Piekarniaka. Warszawa, Ordynacka 3.